JOM KIPUR
CZYLI
DZIEŃ ODPUSTNY
Romans

PRZEŁOŻONY Z NIEMIECKIEGO,

PRZEZ H. L...

TOM DRUGI.

WARSZAWA,
W DRUKARNI PIOTRA BARYCKIEGO,
PRZY ULICY SENATORSKIEJ i ŻABIEJ N. 955.

1840.

XVI.

Proces bogatego żyda sprawił wielkie wrażenie na mieszkańcach małéj stolicy. Jakkolwiek może bydź powszechny przesąd o żydach, lubo jesteśmy przyzwyczajeni bezwarunkowo im przypisywać największe przestępstwa, jest to jednak uderzającém, widzieć z razu żyda współobywatela którego tak długo jako uczciwego i rzetelnego człowieka poważać, prawie czuliśmy się przymuszeni, widzieć że mu zostało dowiedzionem jakoby był oszustem. Baruch Meyer odznaczył się dotąd tak niezachwianą prawością, połączył szczególniej w swém postępowaniu jako człowiek i kupiec tak wysokie cnoty, iż głos publicznego sądu, dotąd się jak najprzychylniej dla niego wyrażał. Zdumiano się tém bardziej nad tym wypadkiem, gdy jego oskarzycielem był Józef Hirsz: który jako podły lichwiarz, chciwy pieniędzy,

przewrotny i łakomy żyd, powszechnie był znany i wzgardzony. Jego brudne postępowanie odbijało mocno obok dobroczynnego równie dla Chrześcian jak i żydów życia Barucha.

Proces postępował tymczasem zwykłą drogą. Szło w nim o wyjaśnienie występku, który powinien był tem bardziej bydź karany, gdy już od znacznego czasu szkodliwe jego skutki podkopywały pomyślność całego kraju. Nie dawno dopiero zaszły do dworu zażalenia, szczególniéj od wieśniaków na obieg fałszywych pieniędzy. Lubo ujęto bandę fałszerzy i sąd na nią słuszną karę wymierzył, niepołożyło to jednak tamy, téj coraz bardziéj szerzącej się zbrodni. Fałszywe pieniądze były ciągle w obiegu, i koniecznie musiał bydź ten przypadek, że wielu bankierów i kupców krajowych musiało zapewne mieć związek z zagranicznemi fałszerzami, i w tak niesłychany sposób dało wstęp temu oszustwu.

W takich okolicznościach, cóż więc mogło bydź sądownictwu pożądańszém, jak oskarżenie najbogatszego handlarza. Książę sam wydał najsurowsze rozkazy, aby bieg tego processu nieprzerwanie był prowadzony z całą praw ostrością. Oskarzony odwoływał się w pierwszych badaniach do swojej niewinności, i powtarzał ciągle że się nie może do niczego przyznać, chyba gdyby miał co przeciw własnemu przekonaniu oświadczyć, a to go przekonywa że jest wolnym od wszelkiéj winy. Niższe sądownictwo oddało przeto winowajcę do sądu kryminalnego, gdzie sprawa z należytą formalnością została wprowadzoną. Walter który dotąd w czasie dochodzenia niemógł bezpośrednio od Barucha otrzymać objaśnienia, starał się z największą przenikliwością rozumu zbierać z powszechnéj wiadomości zasady do obrony Barucha, i te do akt przyłączył, zarazem podsunął poszu-

kującym sędziom okoliczności, któreby zwróciły ich uwagę na innego utajonego sprawcę. Gdy zaś ze strony oskarzyciela niezaniedbywano wszelkich środków przeciw temu, a nie znajdowano pewnych dowodów na uniewinnienie oskarzonego, owszem jego dawny kantorzysta Wolf wystąpił przeciw niemu jako świadek; zdawało się poszukiwanie sprawy zbliżać do zamknięcia akt, z których można było niepomyślny wyrok dla Barucha przewidzieć.

W takim stanie były rzeczy; Józef Hirsz i jego zwolennicy odnieśli tryumf, zaś Walter, dzieci i przyjaciele oskarzonego rozpaczali. Kilka już tygodni upłynęło od oskarzenia Barucha i ostatni termin do zamknięcia indagacyi został przeznaczony. Zdawało się iż nic nie zdoła uratować Barucha od haniebnéj kary, którego uważano jako przekonanego sprawcę téj zbrodni.

Sam dwór, jak już wzmiankowano, miał żywy udział w téj sprawie. Minister Eichenfels wstawił się dotąd czynnie za więźniem, lecz stracił nadzieję, i odradził przeto synowi pracować nad obroną niemogącą się wspierać na stałych zasadach. Walter znalazł się w dręczącym położeniu, zabrał się do głównej obrony, przyczém miał sobie oddane wszystkie aktá do przejrzenia. Mówił sam na sam z Baruchem w więzieniu; lecz jeśli akta niemogły mu dostarczyć stałych zasad do zniszczenia haniebnego podejrzenia sztucznemi dowodami prawie urzeczywiszczonego; równie i sam Baruch, oprócz uroczystych zapewnień o swojéj niewinności, niemógł mu żadnych dostatecznych dowodów podać.

Po długiem zwlekaniu, w czasie którego miał nadzieję że mu się nastręczą zbijające dowody, postanowił Walter podać obronę, która co do przenikliwości i mo-

cy mogła bydź uważaną za arcy-dzieło w swoim rodzaju; lecz musiał nakoniec przyznać, iż mamidło retoryki nie jest wstanie nawrócić zimnych sędziów.

Prosił o czas wolny do wykazania jednego dowodu w swéj obronie, niewiedząc nawet na czém miał się opierać. Prośba ta była jednak daremną, i widział się w końcu przymuszonym implicite, przyznać, że nie ma jeszcze dowodów, lecz ma nadzieję ich wykrycia. Akta były więc uważane za zamknięte, i dozwolono obrońcy na czas krótki całkowity ich przegląd. Aby uzyskać dłuższą zwłokę czasu dla wynalezienia zbijających dowodów i wykazania ich w potrzebnym razie, nie pozostawało rozpaczającemu Walterowi, jak uciec się do łaski Księcia.

Dobry ten panujący wzruszył tylko ramionami na prośby młodzieńca, którego bardzo szacował. Wystawił mu nie-

podobieństwo przychylenia się do tego, co jest przeciwném powszechnemu dobru i zwykłemu porządkowi, gdy zbywa na dostatecznych dowodach do okazania niewinności Barucha; że winowajca uznając publicznie odpieczętowane kiesy za swoje, tém samém przekonał o swojém przestępstwie, że wreszcie jako Książe nie może działać przeciw zdaniu swego sądownictwa, i na tém skończyło się posłuchanie. Walter pełen rozpaczy widząc że i ta droga była bezskuteczną, oddalił się z sercem przepełnioném gorżkim frasunkiem, gdy ta ostatnia znikła mu nadzieja.

Był to piękny dzień jesienny, kiedy natura nawet w swém zniszczeniu umie się jeszcze okazać przyjemną i wzniosłą. Słońce rzucało jakby na pożegnanie ostatnie ciepła promienie na jesienną barwę okryte drzewa; gdy Księżna przechadzając się w towarzystwie jednej z swych dam dworskich spostrze-

gła zbliżającą się ku niéj postać kobiecą. Nagle dzikie to zjawisko ściągnęło całą jéj uwagę. Stanęłą w niemem oczekiwaniu. Na widok śpiesznie przybliżającéj się postaci ze wzniesionemi od wiatru włosami, rysów twarzy przez utrapienie wycieńczonéj, na któréj znikł świeży kwiat młodości, cofnęła się Księżna. Jéj towarzyszka odskoczyła przestraszona i stanęła drżąca za swą Panią. Klara rzuciła się bez tchu do nóg Księżny.

— Łaskawości! powtarzała ściskając jéj kolana; jéj głos rozpaczający wzbudzał przerażenie, tak, że Księżna mocno przestraszoną została.

— Zapewne to uciekająca waryatka, rzekła dama bojaźliwie, drżąc po wszystkich członkach.

— Zapewne, odrzekła Księżna; ale czy niema tu kogo na naszą obronę?

— Nie jestem obłąkaną JO. Xiężno, zapewniała błagająca, ściskając mocniéj

kolana Księżny, wysłuchaj mnie wysoka Pani! bądź moim aniołem, pani tylko może mnie od obłąkania i śmierci zachować.

— Wstań więc, rzekła Księżna nieco przytomniejsza.

— Nie, wołała nieszczęśliwa, nie opuszczę tego miejsca, aż mnie łaskawy wyraz JO. Księżny podniesie. Błagam o łaskę, o łaskę dla mego nieszczęśliwego ojca.

— Jakież to właściwe twoje żądanie moje dziecię? zapytała się łaskawym tonem Księżna; mów, posłucham cię chętnie.

Na te słowa rzuciła się znowu Klara do nóg Księżny.

— Oto teraz poznaję miłościwą Matkę kraju, zawołała, moja Księżna jest Aniołem, przed którym w pyle zrodzona korzy się w prochu. Ratuj mego ojca, najłaskawsza Księżno, on jest niewinnym, na Boga, na tego Ojca w niebie, który nas wszystkich, Chrześcian, czy żydów

zarówno kocha i zachowuje, on niewinny! Jeśli tu idzie o ukaranie winy, w tedy ja sama tylko zasługuję na karę.

Opowiadała jak Józef Hirsz żądał jej ręki, ona go odrzuciła, a teraz przez zemstę zrządził upadek wielce ukochanego ojca. Jéj otwarte i nieozdobne opowiadanie, przy prostocie i pewności wyrażeń, cechę prawdy noszące, działało na dobre serce Księżny. Podniosla nieszczęsliwą i kazała jéj usiąść przy sobie.

— Wierzę twym słowom, moja dobra córko, lecz cóż czynić? Obrońca twego ojca wyczerpał całą sztukę; zbywa mu zupełnie na dowodach do zniszczenia srogiéj skargi, gdy tymczasem oskarżyciel utwierdza swoje zeznanie świadkami, i....

— I nieszczęśliwy mój ojciec jest bez ratunku zgubiony, zawołała Klara, umrę z nim razem; umrzéć! o, to jeszcze nienajgorzéj, lecz umrzéć piętnowani hańbą, my, którzyśmy tak długo żyli z honorem,

ach, to śmierć stokrotna! — Ach! gdyby Miłościwa Księżna wiedziała, jak on dobrym dla mnie był ojcem, jak usiłował jedynie ugruntować moje szczęście, a jam go tak nieskończenie zmartwiła. Ciężko zgrzeszyło to serce, moja nieszczęsna miłość... Marzyliśmy błogim snem uśpieni, a przebudzenie było straszliwe. Robak trawi me życie.... Ach gdybym tylko wiedziała że ojciec uratowany.

— Wszystko może się jeszcze dobrze ukończyć, pocieszała ją Księżna, a gdyby nawet nie poznano cnoty na ziemi, otrzyma ona w niebie zasłużoną palmę.

— Bez wątpienia, dodała Klara, tam to dopiero nastąpi, gdzie pobożna matka na nas czeka, i w głębokim eterowym błękicie zanosi do Najwyższego tronu za nas modły. Gdy... ach, ciemno mi się robi... upadła zemdlona.

Księżna ujęta litością wzięła ją pod ramię, zaleciwszy towarzyszce toż samo u-

czynić, i zaprowadziła powoli chwiejącą się Klarę do zamku.

XVII.

Następnego dnia otrzymał Walter Eichenfels, za wstawieniem się Księżny, potwierdzenie od sądu uproszonego zawieszenia sprawy. Dano mu na własną jego prośbę, jeszcze trzy tygodnie czasu; z tém jednak zastrzeżeniem, iż gdyby po upływie za najwyższą łaską udzielonego mu terminu, niebył wstanie okazać czystemi dowodami niewinności swego klienta, miała bydź na tegoż cała surowość praw wykonana. Walter ucieszony, uwiadomił o tém swego przyjaciela, i zajął się natychmiast pracą prowadząc daléj swoje śledztwo.

Dotąd nie było wolno nikomu odwiedzać więźnia, dzieciom jego było to nawet surowo zakazane. Teraz udało się przecię Klarze otrzymać pozwolenie widzenia oj-

ca. Wyrobiła to nawet, iżby wolno było pobożnemu Izraelicie bliski dzień nowego roku ze wszystkiemi ceremoniami swojéj religii obchodzić. Dzień ten którego Mojżesz nazywa świętem trąb, obchodzą jeszcze dotychczas wierni Izraelici sumiennie z największą uroczystością. Jest on uważany po dniu odpustnym, jako najświętszy ku czci Boga Albowiem nie tylko że to pismo oznajmuje w słowach:

„Rzeknij dzieciom Izraela: W pierwszym dniu siódmego miesiąca (Tyszry) miejcie na pamiątkę (dobrodziejstwa Boga) przy odgłosie trąb dzień spoczynku, i nazwijcie go dniem świętym"

Oznaczyli go jeszcze ściśléj Rabini, mówiąc, że Bóg trzyma w tym dniu wielki sąd, zapisuje ludzi podług ich czynów w upłynionym roku do Księgi życia lub śmierci, i że nie tylko nic nie zostaje skrytego przed okiem Wszech-widzącego i żadne zapomnienie nie ma u niego miejsca,

nadto jeszcze, ręka każdego śmiertelnego zapisuje swoje dobre uczynki i występki do księgi wspomnień; tę otwierają w wielkich dniach sądu, w których drżą nawet i aniołowie i sama wymawia co w sobie zawiera. W prawdzie ma odgłos rogów zbudujące uczucie i zaufanie wpajać w umysły gminy; z tém wszystkiem stoją zgromadzeni okryci białemi śmiertelnemi koszulami, drżąc w bojaźni przed surowym sądem Boga, ze skruszoném sercem, w uczuciu swéj nikczemności, oczekują z obawą wyroku na swe winy. Modlitwy tchną uwielbieniem Boga, dziękczynieniem za obfite błogosławieństwo i dobrodziejstwa; zbawienne więc wzniesienia duszy powinno bydź ich skutkiem, lecz ze skołatanym umysłem, głęboko zasmucony odmawia je lud ze łzami i szlochaniem. Widzą tylko w Bogu Sędziego, który, lubo miłosierny, dziś jednak wszystko surowo poszukuje. To wyobrażenie

podsycane dodatkami Rabinów, jest panującém samo się każdemu ustawicznie nasuwa, a tak użycza téj uroczystości przesadzony charakter, aż do przerażającéj fantastyczności posuniony, zupełnie rozporządzeniom Mojżesza nieznany.

W tym dniu niesłyszeć odgłosu Szafar (trąbki) jest niedarowaną zgrozą w oczach każdego prawowiernego. Bądź w dalekiéj podróży, na otwartém morzu, lub złożony chorobą, w żadném położeniu Izraelita nieomieszka wypełnić tę powinność, którą raz na zawsze jako niewzruszoną ustanowiono.

W wigilii tych świąt wybrała się Klara do więzienia. Tysiące różnych myśli opanowały ją w czasie drogi; znaczny już czas upłynął jak niewidziała ukochanego ojca, w jakim stanie znajdzie go teraz! Pod jakąż postacią utrapienia i nędzy spotka ona nieszczęśliwego starca! Będzież ona mogła znieść jego widok? Wzniecona

wyobraźnia malowała jéj pierwsze spotkanie w odrażających kolorach. Widziała w myśli przed sobą męża, którego nieszczęście, wewnętrzne cierpienie duszy i dolegliwość ciała mocno przygniotły, w jego rysach ślady rozpaczy, wszystkie siły duszy rozprężone pod żelazną ręką srogiego losu; z jego twarzy znikłe wszelkie kolery życia.

Werkstein był jéj towarzyszem; czuły ten młodzieniec nieopuścił dzieci swego pana i przyjaciela w burżliwych dniach smutku, chciał wspólnie z niemi dzielić cierpienia jak przedtém był uczestnikiem ich szczęścia. Może go też i serdeczniejsze uczucie, niż wdzięczność do Klary przywiązało, dosyć że czuwał nad jéj krokami, jak Anioł opiekuńczy, wszędzie jéj towarzyszył, i zaprowadził dziś do więzienia.

Chociaż Klara śpieszyła prędko przez ulice, miotana gorącą żądzą widzenia u-

kochanego ojca, zachwiały się jednak niepewne jéj kroki na widok murów zamykających wiernego stróża swych lat dziecinnych. Była przymuszoną wesprzéć się na ramieniu swego towarzysza, aby nie upaść. Tak przyszli do odźwiernego, który uwiadomiony o rozkazie Księcia, przyjął z uszanowaniem drżącą dziewicę w celu zaprowadzenia jéj do więzienia ojca. Klara ścisnęła z wdzięcznością rękę Werksteina przy rozstaniu się, potém zebrawszy całą moc duszy i wzmocniona uczuciem czystéj miłości dziecinnéj, zeszła ze wschodów.

Odźwierny wskazał jéj niskie drzwi i opuścił ją. Została sama, jedna tylko ściana oddzielała ją od ojca. Na kurytarzu było zupełnie ciemno, wszystko w około niéj w głębokiem milczeniu, tylko nad nią obracały się skrzypiące koła wielkiego zegara wieżowego. Stanęła z wewnętrzną obawą przy drzwiach i przyło-

żyła ucho do zamku. Więzień odmawiał modlitwy na ten dzień przeznaczone, słyszała wyraźnie wzniosłym głosem wymawiane słowa. Głos jego, który się z początku po cichu i słabo dał słyszeć, wznosił się w ciągu modlitwy coraz wyżej i przeszedł nakoniec w ton tryumfalny. W końcu zamilkł, i Klara otworzyła drzwi powoli.

W środku małéj izby był umieszczony stół biało nakryty, na którym się dwie świéce paliły, zupełnie jak pobożny Baruch Meyer zwykł był mieć w własnym domu, w dniach szabasu i świąt. Siedział znużony po długiéj modlitwie na małym drewnianym stołku, tyłem do drzwi obrócony. Klara weszła tak cicho iż tego niedosłyszał. Nie mogła jeszcze widzieć twarzy Ojca, serce zaczęło jéj bić mocniéj z obawy. Baruch miał twarz obiema rękami zasłonioną i zdawał się bydź oddanym dawnym wspomnieniom. Myślał

zapewne o uroczystościach nowego roku, które zwykł był obchodzić w kole kochanych dzieci, jak mu w tedy dobra córka często swemi pocałowaniami tamowała dano błogosławieństwo i życzenie, z jakiem zaufaniem poglądał zwykle na zaczynający się nowy rok. Westchnął cicho i głęboko. Klara przystąpiła bliżej na usłyszane westchnienie, a starzec podniósł powoli głowę na ten szmer, i spostrzegł córkę. Chciał wstać, ale upadł znowu osłabiony.

— Ojcze mój, Ojcze! zawołała Klara padając przed nim i całując zwieszoną zwiędłą rękę. Więcej nie była wstanie wymówić wzburzona uczuciami, Baruch drżąc cały objął jej głowę, i długo wstrzymana boleść torowała sobie drogę gwałtownie, łzy się toczyły na głowę córki.

— Niechaj ci rok ten będzie szczęśliwy rzekł do łez poruszony, oby cię Bóg dziś zapisał do księgi życia moja Klarciu.

Przycisnął jéj głowę mocno do piersi i zamilkł. To milczenie trwało długo i uroczyście. Nie objaśnione świece rzuciły ponury blask na rozrzewniającą scenę; wiatr jesienny wstrząsnął okna że aż szyby trzeszczały. w kilka chwil rozległ się odgłos siedmiu tęschnych, prawie narzekających uderzeń zegara.

— Posiadam cię znowu, rzekł nakoniec Baruch, mogę cię przycisnąć do piersi Ojcowskich, wpatrywać się w twe nadobne rysy, o, chętnie teraz umrę.

— Nie umrzesz ojcze, odrzekła córka wzruszona, Bóg wysłucha zapewne nasze czyste modły, i nieopuści nas w chwili potrzeby! Wszak On Najdobrotliwszy, zapisze nas do księgi żywota i szczęścia!

— Amen! dodał Baruch, i podniósł wyżéj córkę do serca. Bóg już wysłuchał swego sługę dozwalając mu używać pociechy z swego niewinnego dziecięcia. Jest to więcéj niżelim się spodziewał, z resztą

niech się tu, jak tam święta Jego wola stanie. Wszystko co on uczynił ze swym sługą jest dobrém i sprawiedliwém, niech więc będzie za to pochwalone Jego święte Jmie! Któż może rzec do niego: „Panie co czynisz?" Jak Bóg wymówił tak się stanie; a więc może mnie wziąść do siebie w mojéj niewinności. — Słyszysz moje dziécię mówię w mojéj niewinności; nie jestem winnym, nie wykroczyłem w tém o co mnie ciężko oskarżono. Mów moja córko, uważaszże Ojca za winnego?

— O Boże, zawołała Klara, kiedyż powątpiéwałam o czystości twoich uczynków! Jesteś jednym z najsprawiedliwszych w Izraelu.

— Ale niechcą temu uwierzyć, rzekł starzec z gwałtownością, potępiają mnie i każą mi umrzéć w oczach świata jako złoczyńca. Mogą to dowieść, jak słońce jasne dowieść żem zgrzészył, będą przekli-

nać mą pamięć, z hańbą i wstydem wskażą na moje dzieci.

— Nie kończ Ojcze, zawołała córka z trwogą, nie przyjdzie do tego. Zezwolono jeszcze na małą zwłokę, nasi przyjaciele łożą wszystko na okazanie twoj j niewinności.

— Nic to nie pomoże, rzekł Baruch, albowiem Jehowa odwrócił swoje oblicze w godzinę gniewu, zły Anioł oskarzyciel, wróg ludzi, stawił się przed Nim, i obwinił Jego sługę. Przedwieczny Sędzia oddał mnie w jego ręce, jak niegdyś swego sługę Joba; mogę z nim zawołać: „ziściło się czegom się obawiał, przyszło to co mnie nabawiło strachu. Przeraźliwy przyszedł postrach, znikło więc szczęście i spokojność. (*)

— Córka objęła go mocno za szyję i przyłożyła twarz do ojcowskiéj od boleści konwulsyjnie wykrzywionéj.

(*) Job III. 25. 26.

— Jam niestety temu winna, że cię to nieszczęście spotkało, narzekała dręczona niewymownem cierpieniem, jam tylko sama zgrzészyła; wszak mogłam cię uratować! Lecz słaby mój umysł obraził mocno twą duszę mym grzesznym płomieniem, i jeżeli cię hańba spotka, własna córka sprowadziła ją na głowę Ojca.

— Nie, nie moja Klarciu, rzekł starzec, jesteś czystą jak roża saronu, twoja dusza tak czysta jak rosa na górze Hermon, słodkie i przyjemnę są twe słowa jak świeżo spadła manna. Miałżebym cię przynieść na ofiarę jak córkę Jefty? Nie przysiągłżem twojej pobożnéj matce na jéj łożu śmiertelném, gdy Anioł śmierci uniósł nad nią swój płomienisty miecz krwią przesiąkły, że cię będę bronił od wszelkiego złego, że cię będę strzegł od sideł podstępu i oszukaństwa; a miałżebym cię stracić jak ofiarę; w której Bóg niema upodobania? Miałażby ona w niebie wy-

stąpić naprzeciw mnie z rumieńcem gniewu na zmienionych licach, pociągać mnie do rachunku i pytać: Takżéś to strzegł powierzoną ci owieczkę? zachowałżeś ją od zęba wilka, od łaknącéj paszczy ryczącego Szakala? Biada ci, nie uczyniłeś tego, oskarżam cię przeto o krzywoprzysięstwo. A Pan ukarałby to surowo, oddałby mnie wykonawcom swojéj zapalczywości. Patrz moje dziécię, teraz zaś mogę się tam spokojnie okazać i mieć nadzieję do łaski, w któréj mają udział sprawiedliwi w Gan-Edenie.

Oparł się znużony, oczy się jego mimowolnie zamykały, i gdy Klara spojrzała na niego, zdawało jéj się widzieć przed sobą zdrętwiałą, nieczułą twarz umarłego. Cała wstrząśniona zaczęła serdeczną modlitwę do Rządcy światów; w tym właśnie czasie wszedł odźwierny więzienia i pytał jéj się, czy chce powrócić do domu z towarzyszem który na dole na nią czeka.

— Miałażbym opuścić ojca w takim stanie, zawołała z boleścią; nie, nikt niemoże mi zaprzeczać tego prawa, powinnam w tém miejscu dzielić z nim jego cierpienie.

— Dobrze, rzekł odźwierny, dam więc czekającemu na dole odpowiedź i zamknę dom. Otrzymałem rozkaz, ażebym się zupełnie stósował do waszéj woli, i jeżeli WPanna chcesz dzielić więzienie ojca, oddam poboczną izbę. Otworzył bliskie drzwi, wstawił jednę świécę, i oddalił się, życząc dobréj nocy.

Baruch przyszedł do siebie z omdlenia, i prosił córkę aby się udała do domu na spoczynek. Gdy mu udzieliła swe postanowienie i łaskę Księcia, uśmiéchnął się, odmówił głośno modlitwę przedspoczynkową, ucałował Klarę, i rozkazał jéj w łagodnym tonie, aby się udała do pobocznego pokoiku na spoczynek, a potém sam się położył.

Słowa ojca uczyniły głębokie wrażenie na sercu cierpiącej córki, on się poświęcił dla jéj miłości i liczył sobie za wielką powinność czynienia z siebie ofiary. Czuł się niewinnym, mimo to był przekonanym że zostanie potępiony; wiedział to z taką pewnością, i zdawał się bydź przysposobionym na nieuchronny koniec, a jednak zadrżał na myśl hańby, którąby ztąd dla niego i dzieci wynikła. Nadto upłynął już prawie trzy-tygodniowy termin, zostały tylko trzy dni, a nie odkryto jeszcze najmniejszego śladu pocieszającego do jego ratunku. Ze drżeniem pomyśliła o upływie tego czasu, widziała ojca zgubionego, i niebyła wstanie temu zaradzić.

Sen przedstawił jéj straszne obrazy bliskiéj przyszłości; wyrok zapadł, wyprowadzono ojca z więzienia na miejsce kary, kat obwołał jego imie na zawsze hańbą okryte, potém został publicznie piętnowany rozpalonem żelazem w oczach zgro-

mądzonego pospólstwa; okuto w ciężkie kajdany i odprowadzono do więzienia na całe życie. Zawołała głośno budząc się; chciała wstać z łóżka, śpieszyć do izby ojca i przekonać się czy go w saméj rzeczy nie wzięli, ale zdrętwiałe jéj członki nie były wstanie się ruszyć, język przyległ do podniebienia, zimny pot wystąpił na niéj..... Wszystko się w niéj wzburzyło i pomięszało. Tłum się rozstępuje, spostrzega spieczone twarze, śmiech się szyderski rozlega, słychać szepty publicznej wzgardy, widzi niegodziwą złorodną twarz Hirsza, nikną w zgiełku narzekania ojca, krzyk i rozpacz brata.... Potem znowu spostrzegła ojca obwiniętego w białéj sukni śmierci, na desce oczyszczenia, gdzie myją umarłych Jzraela przy ostatniéj posłudze. Kilku ludzi włożyło go do ciasnej lichéj trumny, położono na niéj płaskie wieko, i zaniesiono mrucząc głuche pieśni pogrzebowe do otwartego grobu, ten

zaś nie znajdował się wśród innych mogił lecz jak zazwyczaj dla zbrodniarzy był umieszczony przy samym murze. Przybito wieko gwoździami, wpuszczono trumnę do grobu i wrzucano na nią głucho odbijające się bryły ziemi. Wszyscy się oddalili, sama jedna została na cmentarzu, nastąpiła noc ciemna, burza się srożyła, migały się błyskawice, trzaskały pioruny; świszczący płomień uderzył w grób, ten się rozstąpił, Baruch wyszedł z niego, Aniołowie gubiciele, posłańcy Boskiego gniewu uchwycili go. „Masz się błąkać bezustannie, brzmiał ich głos chrapliwy, nie znajdziesz odpoczynku z przyczyny twej córki. Oto wyrok sprawiedliwego Boga!" Cień ojca uniosł się z niemi, wyrażał utrapienie i boleść. Ona zaś uciekła co sił, goniła co raz dalej; wicher wył za nią, łyskały się błyskawice, pioruny trzaskały. Jezioro zatrzymało jej bieg, staje, ogląda się bojaźliwie, widzi prześladujące ją straszy-

dła, rzuca się w nurty; bałwany zamieniły się w téj chwili w wały ogniste, i unosiły w jaskrawych płomieniach jéj ciało nie strawiwszy go..... W tém straciła przytomność.

Dopiero z rana otworzyła znowu oczy. Straszne obrazy téj nocy stały jeszcze przed nią w przerażających rysach i niepokoiły jéj myśli, przystąpiła do okna i spojrzała przez kraty na ulicę. Był to dzień jarmarku, z tąd żywy ruch w mieście; ludzie przechodzili, biegali, jechali w rozmaitych kierunkach: Pomięszany zgiełk rozmawiających, wołających na siebie, krzyczących, dał się słyszeć. Klara miała oczy w lepione w ten tłum; nagle przedstawiły jéj się przedmioty w innćm zupełnie świetle. Tłumaczyła sobie zbieganie się ludu. Ludzie czekali na ojca, który miał bydź odprowadzonym; niecierpliwość dała się widzieć wyraźnie na ich złowieszczych twarzach, byli gotowi przy-

jąć go obelgami, wybuchnąć z urąganiem skoro się ukaże. Zdawało się jakoby otworzono drzwi więzienia i wyprowadzono Barucha Meyer ubranego w żółtą trupiemi głowami obmalomaną nędzną koszulę zbrodniarzy. Głośny krzyk rozlegl się w powietrzu: złorzeczenia i przeklęstwa dały się słyszeć. Starzec niemógł się ruszyć z miéjsca, pachołcy popychali go nie litościwie. Dreszcz przeszedł po członkach Klary, nogi jéj się chwiały, była przymuszoną chwycić się krat aby nie upadła, głowa jéj ciężyła, zaledwie mogła powoli i ciężko oddychać, zaciemniło jéj się w oczach. Nakoniec zebrała wszystkie siły, mimowolny krzyk wydarł się przez drżące wargi. Przerażona w.padła do izby ojca i staje przy jego posłaniu. Starzec leżał głębokim snem ujęty; wpatrywała się w rysy twarzy od utrapienia wycieńczonéj i zapadłéj. Okropny sen musiał i jego zająć; pierś zdawała się pracować pod

strasznym ciężarem, z ust na w pół otwartych wychodziły przerywane wyrazy boleści. Prawa ręka leżała ściśniona konwulsyjnie na sercu, lewa suwała się drgając przez najeżone włosy.

— Jestem niewinny jęczał, niechańbcie mojego imienia, dajcie mi lepiej umrzeć.

Klara uważała go długo, w téj chwili powzięła zamiar obudzić go. Z bojaźliwym pośpiechem uchwyciła zimną prawą rękę ojca; obudzony, patrząc długo na nią zdrętwiałym wzrokiem, zawołał:

— Czyś to ty kochane dziécię, sądziłem się już zgubionym, chcieli mnie zawlec, ach, nie będę wstanie znieść tego. Oby Jehowa wysłuchał moje modły, i powołał do siebie zawczasu swego sługę nim hańba, jak długi wąż brudny o niego się owinie! — Lecz czemuż włepiasz we mnie oczy tak okropnie, nie maszże więcéj słów pociechy, żadnéj rady dla starego

ojca, albo chcesz dozwolić mi ginąć w strasznéj męczarni?

— Wiem o jednym środku, odrzekła szybko córka, chcę ciebie, nas obu uratować, nie będą się cieszyć, naprożno odnieśli tryumf, uydzie im ofiara, nierozszarpią okrutne ręce.

— Byłożby to podobne moje dziecię! zawołał starzec radośnie, niech będzie zato pochwalony Bóg, Ojciec Izraela, widzę że się ulitował nad swym sługą! — Wstanę moja Klarciu.

Klara się oddaliła. W samotności miała czas daléj pomyśleć nad swém postanowieniem, zarzuciła je wiele razy. W rozpaczy załamała sobie ręce, błagała Boską Opatrzność aby Ta ją swym promieniem oświeciła, rozróżniając prawość od nieprawości. Daremnie choćby też najwięcéj pomyśliła, nie mogła znaleść innego sposobu jak ten który jéj rozpacz podała. Przepaść malowała się najstraszliwiéj, nieby-

ło innego sposobu do jéj ominienia, wszelkie inne widoki zatamowane, tylko sromota, nieskończona hańba, wystawiła sycząc zmijową głowę coraz olbrzymiéj, aż doszła wielkości wszystko przechodzącéj. Wzmocniona coraz bardziéj w swém przedsięwzięciu, zdawało j j się iż Bóg sam jéj to podał.

— O nie bądź zagniewany Boże Zastępów, błagała, gdy Twoje dziecię, słaba istota z prochu, chce Cię wyprzedzić w Twych planach. Ale gdy jesteś Istotą najsprawiedliwszą, najmiłościwszą za jaką Cię dotąd uznałam, nie odmówisz więc łaski, zuchwałéj, która dotąd stale w tobie miała zaufanie.

Takim sposobem przywiodła do milczenia, głos odzywającego się w niéj sumienia, każdą myśl Boską opierającą się zuchwałemu przedsiewzięciu. W końcu była spokojniejszą, pojednała się z sobą, i

26

na zawołanie ojca weszła do niego przygotowana.

Baruch Meyer włożył tego dnią białą śmiertelną koszulę, w którą się jego równowiercy zwykli ubierać w dniach Nowego roku i odpustnych do odprawiania modlitw. Gdy córka weszła stał jeszcze modląc się.

— Królu wszechmocny! Twoje Imie jest wszechwładne! Twe ramie potężne! Królu w szacie zemsty! — Osłania On się nią w dniu zemsty i ugadza w pierś swych przeciwników! — On wstrząsa ziemię swém spojrzeniem, ogląda jéj posady, a ona drży! Jego wzrok przeszywa wszystko! — Królu! — On przenika wskróś każdy czyn, postępowanie każdego w głębi i wysokości!

Klara stanęła przy drzwiach, zdumiły ją te uderzające słowa. Zaufanie w Bogu wyrażające się na szanownem obliczu ojca, działało na niej z wstrząsającem

wrażeniem. Nie dawno uczynione postanowienie, zdawało jéj się grzesznem. Starzec to spostrzegł.

— Przybliż się moja córko, przemówił do niéj, powiedz mi jakim sposobem zachowasz nas oboje od nieuchronnéj hańby. Posil mój zasępiony i skołatany umysł pocieszającą nadzieją ratunku, abym mógł daléj tém lepiéj dziękować Panu memu i Stwórcy za dobrodziejstwo które mi okazuje, dozwalając aby własne moje dziécię wybawiło mnie z czarnéj doliny płaczu.

Ta przemowa powróciła Klarze na nowo całą moc duszy; zważyła, iż słaby starzec ma jedyną nadzieję w tém, co mu ona miała udzielić, że go to jedynie może uchronić od hańby; wszelka więc inna względność znikła przed tém uczuciem. Stanowczym krokiem przystąpiła bliżéj.

— Honór, mój ojcze, zaczęła odważna

córka Barucha, jest, jakeś mnie sam nauczał najszacowniejszém ze wszystkich dóbr na ziemi. Bez honoru niemożemy się zwać błogosławionemi, nawet i w najświetniejszém szczęściu, „dobre imie lepsze niż dobra oliwa," nauczają Chachami, a zstąpić do grobu zelżonym i splamionym jest najsroższym losem, jaki śmiertelnego spotkać może. „Biorąc mi honór, odbierasz mi razem i życie," było zawsze twe hasło, i na tém chcę się opiérać. Zastanowiłam się, mój ojcze, dojrzale nad wszystkiem, starałam się wszystko jasno przejrzeć, odbyłam srogą walkę; w tedy Bóg mi sam dodał siły.

— Chwała Jemu, dodał Baruch, jest On podporą dla chwiejących się, uzdrawiającym chorych. On objaśnia niewidomych, i podźwiga upadających! — Zaiste, On mnie uwolni od wstydu, wszak go błagam każdego poranku: „Niechciej

mnie oddać w ręce grzéchu, występku, zbrodni, pokuszenia i chańby" Wysłuchał mnie zapewne, mów więc moja Klarciu.

— Ojcze, obawiaszże się śmierci? zapytała szybko Klara.

— Bynajmniéj, moje dziécię, odrzekł bogobojny Baruch, jestem gotów w każdéj chwili stanąć przed moim Sędzią. Niechciałbym tylko bydź zelżonym w oczach ludzi.

— A więc, mówiła daléj córka wywyższonym tonem, jesteś przysposobionym. Czemużbyśmy się mieli obawiać śmierci? Grzesznicy tylko powinni drżyć na jéj widok, nam zaś okazuje się ona jako pomocniczy Anioł, który nas jedném ucałowaniem, wraz z życiem uwalnia od męki i niedoli. Ona daje nam znak przyjażny, otwiéra gościnnie znużonym podróżnym, dom spoczynku, wytchnienia i ochłody. Patrz ojcze, oto zamiana, oddając życie za śmierć, opuszczając dom

zgryzot, gdzie zjadliwy wąż obok niewinności, sęp obok gołębicy zostaje; gdzie się poto tylko spotyka miłość, aby ją nienawiść udusiła; gdzie się tylko znajduje cnota aby się stała łupem występku i niegodziwości. Precz z tej sceny smutku. Ojcze, śpieszmy tam gdzie się do nas światło, radość, lepsze życie i wieczność uśmiéchają.

— Jak cię mam rozumieć, moja Klarciu, pytał się starzec, mów wyraźniej.

— Niepowinieneś drżyć, ojcze, mówiła daléj Klara, nie powinieneś się ulęknąć, gdy ci wymienię jedyną drogę nam pozostałą, gdy ci wymienię tę, na któréj wspomnienie zimny dreszcz przebiega żyły osiwiałych grzeszników. Naszem zbawieniem, ojcze, jedyną drogą którą możemy ujść hańby w oczach ludzi, jest śmierć sama!

— Lecz jakże moje dziécię, pytał się znowu Baruch, jakże to rozumiesz?

— Jakże to mam rozumieć, zawołała córka prawie z naigrawaniem, czegóż ci potrzeba więcej, gdy Ci mówię, że śmierć sama zdoła nas uratować? Mamże dodać, śmierć samowolnie zadana?

— Samobójstwo! krzyknął starzec, samobójstwo myślisz? Corka doradza ojcu, swemu rodzicielowi, swemu obrońcy samobójstwa! Ha! i ziemia nie występuje z swych posad, i robak nie wspina się przeciw swemu Stwórcy! Słońce nie przykrywa ze drżeniem swego oblicza, i gwiazdy nie bledniej ą, wszystko tak jak było, a córka doradziła ojcu samobójstwa! Chcesz sobie saméj i mnie śmierć zadać?

— Ojcze, nie sądź fałszywie, odrzekła Klara i wrzące krople ciekły z jéj rozognionego czoła, precz z szkaradnym wyrazem samobójstwa, gdyby tu nie szło o zachowanie sobie dobrego imienia, o wy-

bawienie się z okropnéj męczarni i nieznośnéj hańby.

— Zatrzymaj się, zawołał Baruch Meyer ze zgrozą, nie pobudzaj na siebie gniewu nieba twą występną mową, którego zapalczywość w mgnieniu oka może nas rozgruchotać. Nieszczęsne obłąkanie usidliło cię moja Klarciu.

— Nie jest to obłąkaniem, ojcze, rzekła, długom walczyła, pasowałam się nim walka została rozstrzygnioną. Wierzaj mi ojcze, trzymałam podobne rzeczy za obłąkanie, za zawikłanie umysłu, gdym co podobnego kiedy w książkach czytała. Mam mocne postanowienie, ojcze, umrzyjmy!

— Precz odemnie szatanie, zawołał Baruch, przybrałeś zwodniczą postać córki, abyś mnie zgubił i wtrącił w ognistą odchłań gdzie się żarzą, złoczyńcy, którzy grzesząc zrzucili z siebie samowolnie brzemię życia. Ha, słyszę ich zębów zgrzy-

tanie, brzęk ich kajdan. Nie zgubisz mnie wrogu ludzi, Jehowa uwolni mnie od nędzy którąś mi zgotował, jak niegdyś wydobył z twoich więzów swego sługę Joba. Owszem przez ciebie wyniknie nasze zbawienie, gdyż Szadai jest naszym Bogiem i Królem!

— Odepchnął od siebie gwałtownie córkę, ta upadła na ziemię bez zmysłów. Baruch otworzył wielką księgę do modlitw i zaczął donośnie brzmiącym głosem:

„Opowiadajmy o potężnej świątobliwości dnia dzisiejszego; jest on groźny i straszny! w nim wzniesie się Twoje Królestwo, ugruntuje się tron łaski i bezustannie będziesz na nim przesiadywał. Prawda zaiste, jesteś Sędzią, widzem i świadkiem, pisarzem i kanclerzem! Księga dziejów otwiera się, zdarzenia same się z niej wyczytują i każdy czyn jest podpisany ręką sprawcy. W tedy zatrąbią w wielki szofar, przytłumiony krzyk da-

je się słyszeć, aniołowie śpieszą z drżącą skwapliwością, zdjęci przestrachem truchleją! I dają się słyszeć w te słowa: Ha, oto dzień sądu! Niebieskie zastępy są przed sąd zawołane. Wszystko co ma przyjść na świat stawia się przed Tobą jak trzoda owiec; jak pastérz przegląda swoją trzodę pod laską, tak i Ty przeglądasz 'liczysz i postanawiasz czas życia każdego i spisujesz jego przeznaczenie!"

W tej chwili zabrżmiał coraz głośniej ton szofaru, jak wstępujące wały morskie. Długi nieprzerwany ton przedarł się silnie do uszu pobożnego Izraelity; przysłuchywał się najprzód z zapałem, a w tedy przekonywając się, że go pomącone zmysły niełudzą, mruczył sobie po cichu;

„Bądź pochwalony Boże nasz, Królu świata, żeś nas uświęcił przykazaniem i zalecił nam słuchać odgłosu Szafar!".... — Klara leżała bez czucia na ziemi.

Krótkie ułamane tony jakby trąbienie na trwogę, długo ciągnione uroczysty hołd oznaczające, zamilkły. Baruch sądził że się znajduje w Synagodze, pociągnął głębiej na twarz zasłonę Thaleth i zawołał:

„Dzisiaj jest dzień urodzenia świata (*), dziś są zawołane do sądu wszystkie ziemskie istoty; są uważane jak dzieci, albo jak słudzy, jeśli jak dzieci, ulituj się nad nami jak się Ojciec nad dziećmi lituje, jeśli jak słudzy, w tedy nasze oczy zwrócone są do Ciebie, aż się ulitujesz nad nami i wykonasz sprawiedliwość czystą jak światło słoneczne. O Ty święty, straszliwy!

Znowu dał się słyszeć Szofar we wszystkich przepisanych oddziałach. Ostatni ton zamilkł; Baruch leżał na ziemi z zasłonioną twarzą, ze skruszonem sercem, jak grzesznik do sądu pociągniony, który

(*) Podług podania Talmudu, był świat w miesiącu Tyszry stworzony.

w prochu się korząc czeka na tajemniczy wyrok. *) Gdy się podniósł stał przed nim Rabbi Izaak z rogiem w ręku, równie śmiertelnym kitlem okryty.

XVIII.

Do małéj karczemki stojącéj przy trakcie niedaleko stolicy, szło w niedzielę dwóch ludzi. Jeden z nich nieco w wieku, trzymał w ustach fajkę, z któréj bezustannie gęsty dym wychodził, w kształcie małych obłoczków, zdawał się mieć żwawą utarczkę z swoim towarzyszem. Stary stawał o kilka kroków, brał towarzysza za ramię, czepiał go się silnie rękami w zapale swéj

(*) Podług zapewnienia Rabbi Ameona z Moguncyi, zostaje w Roszhaszana (w nowym roku) spisanem, a w Jom-Kipur (dniu odpustnym) zapieczętowanem, wielu ma przyjść na świat i wielu z niego zejdzie, kto zostaje przeznaczony do życia lub śmierci, z wymienieniem róznych jéj rodzajów. (Obacz rękopism Rabbi Efraim z Bon.)

mowy. Żołnierz niezdawał się jeszcze przestać na tak jawnych dowodach, gdyż niedał nigdy staremu dokończyć tamując mu obfity tok wymowy głośnemi, i jak się zdało dosyć hardemi uwagami. W czasie gdy go stary mocno przytrzymywał, głaskał on sobie ogromne wąsy, i jakby dla dodania większéj wagi swym słowom ujął za rękojeść szabli. Lecz stary niedał się tem bynajmniéj ze swojéj strony zbić z drogi, nie okazywał podofficerowi najmniéjszego poważania. Stanęli wreszcie o kilka kroków od karczmy i chcieli, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy w przódy zwadę ukończyć nim dojdą do celu obiecanéj ziemi.

„Lubisz się zawsze sprzeczać, zawołał stary prawie piorunującym głosem, mówię ci raz na zawsze że w cale nie pije, a jeżeli czasem kiedy pozwalam sobie ze sztuf piwa dla posiłku ciała i wzmocnienia du-

szy, nie jest to bynajmniej przyczyną że zostaję coraz bardziej bez chleba.

— Wszystko to pięknie, odrzekł Grzegorz, jednak nie mogę temu bezwarunkowo wierzyć, zastaję cię zawsze podchmielonego ile razy was odwiedzam; słusznie więc że tak rzadko u was bywam. Nie odbieracież mi za każdą razą moje kilka groszy? Czy wam się zdaje że znajduję pieniądze na ulicy? Człowiek musi stracić wszelkie uszanowanie: lubo jesteś moim ojcem, i powinieneś mnie własnym przykładem nauczać. Do stu tysięcy tatarów, powiadam jak mój Kapitan, czy nie możesz pracować?"

— Błaźnie, trzymaj język za zębami, przerwał mu stary, nauczę ja cię mores. Wszak jestem twym ojcem, ty chłystku, mizerowałem się dosyć długo za ciebie. Widzę że nasz proboszcz dobrodziej ma słuszność, gdy nas napomina, abyśmy nie byli zbyt pobłażającymi na błędy naszych

dzieci, Byłem nim aż nadto dla ciebie, ty paliwodo, młokosie. Czy nie możesz mnie spokojnie wysłuchać?

Trącił przytém łokciem w bok młodzieńca, ten odskoczył nieco, lecz przystąpił natychmiast z marsową miną do ojca i stanął w sztywnéj, prostéj postawie.

— Baczność, Panie Tomaszu, zaczął w tonie kommenderującym, proszę poważać mój mundur! Jeźli chcesz ukarać syna, niepowinieneś się zapomnieć i porwać na podofficera trzeciéj kompanii Gwardyi Książęcej. Kto znieważa mój mundur, znieważa moją godność, a kto obraża moją godnosć, znieważa znowu mojego Księcia, który mi jéj udzielił. Nie przywiedź mnie do ostateczności, boby żołnierz, mógł zapomnieć że jest synem!

Stary zaczął się śmiać głośno.

— Podobasz mi się chłopcze, rzekł, chodź, zawrzyjmy pokój i wypijmy szklankę za zdrowie naszego dobrego Księcia.

Syn przyjął ofiarowaną prawicę, lubo nie zupełnie bez oporu.

— Tak, to ale, odezwał się wesoło stary Tomasz, jesteś w końcu rozsądnym i uwierzysz mi przecię, że to nie nasza wina, gdy nam się tak źle powodzi. Oto nikt nie daje u mnie robić, kupują nową robotę w mieście. i gdyby się nie zdarzyło kiedy niekiedy zamek otworzyć, musiałby stary Tomasz zupełnie z głodu umrzeć. Dawniéj było inaczéj przychodził często żyd z miasta i dał chleb; on tęgo płacił Prawda, musiałem mu święcie przyrzekać iż nie powiem przed nikiem, że daje dorabiać klucze ze wzorów woskowych, cóż mnie to obchodziło? kiedy płacił.

— Daj mi święty pokój z twoim żydem, rzekł nato Grzegorz, jeżeli wasze błogosławieństwo ma pochodzić od Leybusia, nie wiele co z tego będzie.

— Jak ty zawsze rezonujesz, mruknął stary, lecz stanąwszy przy drzwiach kar-

czmy, zaniechali sprzeczki, na widok znanego godła z chrustu. Przestąpili próg tak spokojnie jak gdyby nic między nimi nie zaszło.

Izba gościnna do którćj nasi rycerze kierowali swe kroki, należała do klassy owych izb karczemnych, które często na z ubożałych wioskach napotykać się dają, i których widok czyni nieprzyjemne, często prawie zbyt przykre wrażenie na ukształconych, do dobrych towarzystw przyzwyczajonych podróżnych. Gęsty dym z fajek przyjął wchodzących, którzy stojąc we drzwiach trzymali ręce nad oczami aby przejrzeć obecnych. Ojciec Tomasz poznał w większéj liczbie obecnych starych gospodarzy, z pół tuzina sąsiadów i przyjacioł siedzących rzędem, którzy popijając z ukontentowaniem anyżówkę, użyczali przytém chętnie ucha politycznym wyroczniom Bakalarza tej wioski. Niektórzy z młodych grali w karty lub kostki

wszystkich przejrzał Tomasz i poznał w jednej chwili. Jedną tylko spostrzegł twarz nieznajomą, był to strzelec, który się jeszcze i tem od innych odznaczał, że miał przed sobą szklankę krajowego wina. Tomasz niewidywał go nigdy w towarzystwach téj karczmy, miał go za przejeżdżającego, powitał go przeto grzecznie, kiwając głową i niewdając się z nim w dalszą rozmowę przyłączył się do grona mądrych kumów. Grzegorz ucieszył się, że znalazł gościa, jakim był strzelec, a to tém bardziéj, że nie ubliżył w tém swojéj randze, coby się stało niezawodnie, gdyby, jak się sam wyrażał, był przymuszonym wdawać się z nieokrzesaném chłopstwem.

Usiadł więc z widoczném zadowoleniem obok nieznajomego, i zawiązał z nim rozmowę, zażądawszy wprzódy od gospodarza butelkę wina w tonie znakomitego rozkazodawcy. — Obcy opowiadał mu w krót

ce że służył dawniej w wojsku i należał do kampanii w Wandei odbytej pod Księciem Koburgiem. Grzegorz znalazł tak wielkie upodobanie w rozmowie z myśliwym, iż się dał w krótce od niego nakłonić do gry w kostki.

— Jeżeli wasanu miłe wasze pieniądze, szepnął mu wieśniak do ucha, to wasan nie graj z nim, bo przegracie do grosza. On nas wszystkich odurzył.

Młody wojownik, zamiast należnéj rozwagi, rzucił wzrok pogardy na szczerego ostrzegacza i zaczął w dobréj otusze grać z nowym kolegą. Grzegorz mógł to uczynić tem pewniéj gdy od młodości był wpisany do tajemnicy gier, i ufał wiele swojéj sztuce, w któréj mógł z każdym się ubiegać o pierwszeństwo. Znał wszystkie obroty których nieuczciwy gracz zwykle używa, i widział w krótce że go kolega chciał podejść. Podwoił przeto ostrożności, i lubo obcy nieustannie do niego po-

pijał, zachował jednak władzę swych zmysłów. Nim godzina upłynęła wygrał od strzelca znaczną summę; a zagrzany winem i grą porzucił kostki.

— Jeżeli mamy grać dalej, odezwał się, proszę wprzódy mi zapłacić wygraną, bo potém bywają zmyłki.

— Co tam kolego, odrzekł myśliwy, wszak ci nie ucieknę, możemy po skończonéj grze mieć obrachunek.

— Nic z tego, zawołał Grzegorz silniéj, wprzódy pieniądze a potém pogramy daléj.

— No, kiedy tego chcesz koniecznie, rzekł obcy, wyciągając sakiewkę, dogodzę twojéj woli.

Podoficer zażądał świéżéj butelki.

— I my się obrachujem, rzekł obracając się do gospodarza, ile się odemnie należy!

— Cztery złote, odpowiedział Karczmarz.

Gdy mu Podoficer zapłacił, włożył okulary i obejrzał troskliwie pieniądze.

— Tam do licha! zawołał, to fałszywy pieniądz!

Na to zawołanie podskoczyli wszyscy obecni, i podczas gdy starzy otoczyli Karczmarza i Podofficera, rozstawili się młodzi przy drzwiach. Jak już nadmieniono, zażalenia o rozszerzeniu fałszywych monet pochodziły po większéj części od włościan; nie trzeba się przeto dziwić, widząc jak goście małéj karczemki, przy takiém zdarzeniu natychmiast zbrojno wystąpili. Strzelec wstał ze swego miejsca, w czasie gdy gospodarz obejrzał złotówki, przypiął sobie na ręku zawieszony kordelas i zbliżył się ku drzwiom, aż je właśnie młodzi obsadzili.

— A gdzie to tak prędko, wołali do niego, oho, to nie pójdzie tak prędko jak się wam zdaje.

— Przepuście mnie, rzekł strzelec, mu-

szę się udać do mego państwa, czekają mnie w mieście.

— A jakże pójdziesz do miasta, mój przyjacielu, rzekł mu Tomasz, którego szlachetna kartoflanka nie źle zagrzała, wszyscy będziem ci towarzyszyć.

— Pojmijmy go, wołali wszyscy razem to szelma, fałszérz!

W tej chwili zatrzymał się wóz przed domem; Józef Hirsz i Wolf wysiedli z niego i weszli do izby.

— Oto przychodzi także jeden, zawołał karczmarz, który przez takich szelmów jak ty został oszukany. Ten człek chciał nas oszukać fałszywemi złotówkami Panie Hirszu. Lecz ten zaledwie spojrzał na przytrzymanego, zmienił zaraz kolory.

— Odprawcie nas prędko, Panie gospodarzu, rzekł, dajcie koniom trochę siana i wody, bo musimy prędko wrócić do miasta.

Tomasz przecisnął się do niego. — Nie-

masz wasan dla mnie jakiej roboty? mówił do niego, albo może wasan całkiem już zapomniał o mnie.

— Nie, mój majsterku, jak będę miał potrzebę, przyślę już po was; odpowiedział i chciał wyjść.

— Pan dajesz zapewne innym do roboty, i myśli żem nieumiał dochować sekretu. Zapewne mnie jakiś zazdrosny człowiek u pana oczernił, ale na moją duszę nic nie wygadałem!

— Dobrze, dobrze, rzekł żyd przerywając mu, daj mi tylko teraz pokój.

— Wasan znasz zapewne tego ślicznego strzelca, odezwał się gospodarz, widzę że poglądacie często na siebie, o zostań wasan jeszcze chwilkę i powiedz nam co o nim.

— Tak, tak, zawołali wieśniacy, zapewne go zna.

Józef Hirsz widział się ze wszystkich stron otoczony, tak iż mu nie było podo-

bno dostać się do drzwi bez zwrócenia na siebie uwagi.

— Pan będziesz mógł zaświadczyć, rzekł do niego strzelec, że jestem uczciwym człowiekiem, a że się już dawno znamy, powinno to bydź dostatecznem.

— Ale on nie może bydź uczciwym rzekł Karczmarz, wystaw sobie Panie Hirszu, człowiek który płaci fałszywemi złotówkami, niemoże bydź uczciwym. Ta rzecz powinna bydź wielkiej wagi dla wasana, wszak was podobną zdradą oszukano. Ale powiedźcie nam czy to uczciwy człowiek?

— O ile go znam, odpowiedział Józef Hirsz, pozbywszy się pierwszego pomięszania, jest on uczciwym, może został temi pieniędzmi oszukany; mnie się zdaje że go można puścić, niech sobie idzie swoją drogą.

— Tak wasan myśli, odrzekł Karczmarz, a ja sądzę że to jest naszym obo-

wiązkiem odstawić go do Amtu. Prawda, może go kto omydlił, ale jest wstanie powiedzieć, skąd przyszedł do tych pieniędzy. Czy tak przyjaciele?

— Tak, tak, zawołali jednogłośnie, mamy też rozkaz od Pana Wójta, każdego co ma fałszywe pieniądze zatrzymać, i sprowadzić do niego.

— Ale kiedy Pan Hirsz za mną ręczy, rzekł znowu strzelec, wszak na tém dosyć, i wyście należycie dopełnili waszéj powinności.

— Nic z tego, zawołał stary wieśniak, zostaniecie sobie ślicznie tutaj, a Grzegorz zaprowadzi was na ratusz do miasta. My za to dostaniemy nadgrodę.

— A już-ci, wołali znowu wszyscy, ojciec Maciéj dobrze mówi że będzie nagroda; ale gdzie Grzegorz?

— Oho, on już dawno drapnął, odpowiedział młody parobek, zaraz się wymknął jakeście wołali fałszywe pieniądze.

— Oto chwat z niego, rzekł Tomasz z dumą, on czujny i punktualny, zna się na służbie, chłopiec poleciał zapewne z rapportem do swego Kapitana.

— A więc rzecz już doniesiona, rzekł gospodarz, gdybyśmy wypuścili ptaszka, mielibyśmy dopiero burdę od Amtu.

Strzelec i Józef Hirsz spoglądali często na siebie ze znaczeniem w czasie téj rozmowy, ostatnie słowa przeraziły mocno żyda; ten nieznacznie wziął gospodarza na stronę i mówił z nim coś po cichu.

— Nie dam się przekupić, zawołał nagle Karczmarz, jesteś niegodziwym żydem, chce mi dać dziesięć dukatów, abym dozwolił strzelcowi umknąć!

Głośny krzyk zadziwienia i zgrozy nastąpił po tych słowach.

— Przytrzymajcie i żyda, zawołał stary wieśniak poprawiając sobie czapkę na bakier, któremu wszyscy z uszanowaniem ustępowali.

W tłoczono Hirsza w kąt; pijany Tomasz nieodstąpił od jego boku.

— Doprawdy ja nic niewygadałem, upewniał go tenże, nie wydałem nikomu żeście dali u mnie robić klucze podług modelu z wosku.

— Słyszycie, zawołał stary włościanin! dał sobie robić fałszywe klucze. Patrzcie moi przyjaciele jak to żyd zawsze żydem. Wszyscy krzycząc otoczyli lepiéj jeszcze dwóch podejrzanych ludzi.

W téj chwili usłyszano tentent koni, znaczna liczba żołnierzy przybyła galopem, na ich czele Kapitan Walburg. Zsiedli przed karczmą. Kapitan, Grzegorz, i jeszcze jeden żołnierz, weszli do izby, reszta dom obsadziła.

— Do stu fur beczek.... to dopiéro jazda! gdzież ten człowiek?

— Gospodarz doniósł mu ze złotówką wręku o wszystkiem co zaszło.

— Toście dobrze uczynili, rzekł Kapi-

tan, żeście i żyda przytrzymali.... Aha, mam cię mośku, piękne rzeczy wyjdą na jaw, mój ty biédny oszukany, uczciwy oszukańcze! Poczekaj ptaszku, przypieprzę ja ci twoje przeklęte procenciki. Ale Grzegorzu, i twoj ojciec pójdzie z nami, on może dać objaśnienie.

Związano obu podejrzanych bez dalszéj ceremonii i odprowadzono do miasta, i zanim kwandrans upłynął oddalili się żołnierze biorąc z sobą i ślusarza Tomasza.

— Otośmy łebsko uczynili, kumotrze Macieju, zawołał gospodarz karczmy, gdy pozostałym gościom hufiec znikł z oczu, to nam zrobi honor u Amtu!

— Już-ci, odpowiedział drugi, ale trzeba nam odwilżyć gardło uczciwym łykiem po tak kwaśnéj robocie!

XIX.

Doktór Jakób Meyer przechadzał się niespokojnie przed domem Ministra. Czekał na Waltera swego przyjaciela, którego w interesie urzędowym wezwano do Księcia. Stawał co kilka kroków, wyjmował zegarek i spoglądał znowu z obawą, ku lewemu brzegowi ulicy; skąd przyjaciel miał nadejść; wewnętrzna jego niespokojność wzrastała, gdy już godzinę tę samą ulicę tam i napowrót przechodził; w niecierpliwości, aby sobie czas ukrócić, przeliczył wszystkie okna z prawej i z lewej strony. Dwadzieścia cztery godzin było tylko do terminu przedłużonego do rozstrzygnienia sprawy ojca, a dotąd nieznaleziono jeszcze żadnego dowodu na jego niewinność. Rabbi Jzaak uwiadomił go po dniu nowego roku, że starzec, przeciw któremu oskarzyciel nowego stawił świadka, stracił wszelką nadzieję wyzwolenia się od nieu-

chronnego potępiającego wyroku; a to co ten godny nauczyciel doniósł o siostrze, niebyło żadną miarą zdolnem do zaspokojenia stroskanego brata. Rabbi opowiadał na jego nalegające pytania, że Klara jest mocno chorą i niezdolną opuścić więzienie.

Po długiem przechodzeniu się stanął zatopiony w myślach przy rogu wielkiego budynku. Była to niedziela, cichość panowała w stolicy, zwykle pełnéj wrzawy, ulica była prawie pustą, czasami tylko dały się widzieć pojedyncze osoby przechadzające się świątecznie ubrane. W tém wyrwał Jakóba z zamyślenia łoskot powozu przejeżdżającego z największym pośpiechem, spojrzał i widział w nim znanego sobie młodego człowieka, który z bojaźliwą niespokojnością naglił woźnicę do większego jeszcze pośpiechu. Jakób poznał w bladéj i pomieszanéj twarzy komisanta z kantoru swego ojca, pisarza Wolf;

chciał na niego wołać, pytać o przyczynę tego pośpiechu, ale Walter wychodząc w tej chwili z rogu ulicy zbliżył się do niego.

Obaj przyjaciele weszli do domu. W pokoju udzielił mu Jakób wiadomość jaką odebrał.

— Jakże, Klara zawsze jeszcze w więzieniu? pytał się Walter; tak poznać po tém czułą córkę — ale ona chora! uległa zapewne wielkiemu wstrząśnieniu, jakie widzenie się na nowo z ojcem w głuchem więzieniu na niej zdziałało. Ty sam niemożesz się do nich udać, bobyś, potém co między wami zaszło; odnowił zbyt bolesne rany starca. Będę miał staranie aby otrzymała pomoc lekarską.

— Masz słuszność, rzekł Jakób po niejakiem namyśleniu, nie mogę się sam do nich udać, zwłaszcza gdy nie wiem czy ojciec jest jeszcze na mnie rozgniewany. — Walterze jutro kończy się termin!

Walter zadrżał mocno, odwrócił się i

otarł łzę z oka, potém wziął przyjaciela za rękę i rzekł:

— Jakóbie, nie jestem wstanie go uratować... Lecz nie zginie, niedopuszczę aby był publicznie hańbiony, niepowinien i nie będzie bez litości zamordowany. Masz na to moje słowo.

— Nie mogę tego zrozumieć, rzekł Doktór, nie jesteś wstanie go ratować, a jednak...

— Musi bydź ratowany, odpowiedział Walter. Przygotowałem się już od dawna na wszelki przypadek; ucieczka dawno przysposobiona, uchroni go od strasznego końca.

— Lecz ojciec nie przystanie na to, rzekł na to Jakób, skoro raz wyrok zostanie na niego wydany, przytłoczy go sromota zbyt gwałtownie, i świat ten obmierznie konieczne w jego oczach. Zabraknie mu siły do tego, iżby nieprzywiązując wagi do wydarzonego, podźwignął się i szukał

dalekie dla siebie schronienie. Owszem, woli znieść prędzéj wszystko cierpliwie, niżeli żyć z piętnem hańby.

— Nie, tak bydź musi jakem mówił, zawołał Walter niecierpliwie, niepowinno przyjść do tego dla saméj Klary, widząc ojca umierającego zelżywie, uległaby boleści — nie mogę nawet pomyśléć o tém, ani wystawić sobie tego obrazu nieszczęścia. Stanie się jakem powiedział!

Zamilkli obaj, każdy ze swéj strony zagłębił się w myślach, do których okoliczność ta, i rozmowa dały powód. Stan ten sprowadził Doktora na rozmaite smętne myśli, zdawał się nic nie czuć na około siebie, jak gdyby był przeniesiony do innego przestworu. Walter usiadł do stołu, na którym stosy aktów leżały, zaczął je czytać, albo raczéj przewracać karty; raptem odrzucił wszystko, wziął arkusz papiéru, chcąc układać obronę dla swego klienta. Wyobrażenia mięszały się w jego głowie,

pisał okresy bez związku myśli. Zatrzymał się, przeczytał co napisał, zaczął się śmiać głośno i rozdarł nieporządne pismo.

Upłynęła już może godzina, a żaden niezdawał się mieć ochoty do zawiązania znowu rozmowy, i kto wié, jak długoby jeszcze zostawali w tém położeniu, gdyby przybycie trzeciej osoby nie dało scenie innego życia. Był to stary wierny Filip, który wpadł na wpół bojaźliwą, na wpół radosną skwapliwością. Jakób wstał prędko na jego widok, zdziwiony nad jego osobliwszą postacią, stanął w środku pokoju pełen oczekiwania. Filip przybiegł do niego uchwycił jego rękę, ucałował ją ze łzami niebędąc wstanie słowa przemówić. Walter teraz też uważniejszy przystąpił do nich równie ciekawością zdjęty.

— Cóż nam przynosisz? uczciwy staruszku, zapytał się; mów, widzę z twojej twarzy że coś pomyślnego zaszło.

— Bądź pochwalony Boże nasz! ode-

zwał się Filip, niech będzie uczczone Twe święte imie na wieki wieków, amen!

Złożył ręce w pobożném wzruszeniu, wzniósł do góry zwilżone oczy, i stał tak przez chwilę odmawiając po cichu modlitwę dziękczynną obok swych ciekawych słuchaczów.

— Stary Pan jest niewinnym! zawołał silnym głosem jak gdyby oznajmił poselstwo zwycięztwa.

— Co mówisz! rzekli razem Walter i Jakób.

— Tak, on niewinny, mówił dalej sługa wielce ucieszony, rozerwane są sidła złości, objaśniona noc zdrady, prawda jaśnieje w czystym blasku po grubéj ciemnocie, a grzeszni obaczą to i zadrżą, bezbożni usłyszą i struchleją w próżności zaślepionego serca.

— Cóż się stało, zawołał Jakób niecierpliwie, mów wyraźniéj.

— Kapitan, odpowiedział Filip, sprowadzi go.

— Kogo? przerwał znowu Jakób burzliwie, kogoż on prowadzi?

— Syna Beliala, rzekł z zapałem stary sługa, to dziécię grzéchu, w którym Gehinom ma już tu na ziemi udział, owego przeklętego, co się wyrzekł Boga, a Ten go teraz odepchnął od siebie w sprawiedliwym gniewie, Józefa Hirsz!

Przyjaciele spojrzeli na siebie zadziwieni, żaden niebył wstanie dać zupełnéj wiary temu co usłyszał, ani też zupełnie wątpić o prawdzie.

Drzwi się otworzyły z trzaskiem, Walburg wpadł z rozognioną twarzą.

— Wiktorya! wołał, powiéwając czapką, Wiktorya! Butelkę madery, kochany braciszku bo mi język przylega do podniebienia.

Walter zadzwonił, przyniesiono natychmiast żądane wino.

— Cóż mówicie nato, zaczął znowu Kapitan, wypróżniwszy wprzódy połowę butelki jednym pociągiem; nie jestże Walburg djabłem? Wiwat, niech żyje trzecia kompania gwardyi przybocznej Księcia, bo to są najdzielniejsze chłopcy w całém chrześciaństwie. A jeśli kto mi to zaprzecza, bodaj.... napiszę mu w niezatartych rysach na łysinie tak wyraźnie, że to każdy przeczyta przy świetle nawet księżyca! I na cóż się zda cała wasza jurystowska bazgranina, czém są wasze dziwaczne brednie w porównaniu z jednym kirassyerem? Bierz kaduk wszystkich, co mają przeciw temu; — w tém łyknął drugą połowę, i cisnął butelkę w kąt tak silnie że rozstrzaskane skorupy daleko odskoczyły. W tem przyszedł Minister.

— Masz dzielnych ludzi w swojej kompanii Kapitanie Walburg, rzekł, zasłużyłeś się wielce Rządowi wstrzymując go swą bacznością w porze jeszcze wczesnej

od niesprawiedliwego postępowania z niewinnością. Tak jest moi przyjaciele, dodał Baron obracając się do drugich. Baruch Meyer, jest podług wszelkiego do prawdy podobieństwa niewinnym, a człowiek który go oskarżył, nietylko sam winny, ale jest do tego uczestnikiem zbrodni, która będzie najsurowiej karaną. Twoja czynność Panie Walburg nie będzie przepomnianą, znajdzie zasłużoną nagrodę.

— Nic to nie znaczy JW. Panie, odpowiedział ostatni, jeżeli zostanę Majorem, naturalnie, niebędzie mi to nieprzyjemném, ale Grzegorz powinien przynajmniej na porucznika awansować podług sprawiedliwości.

— Wszystko się znajdzie w swoim czasie, rzekł Minister. Dziś jeszcze w wieczór będzie miało miejsce posłuchanie ujętych złoczyńców, aby niewinny z którym się zapewne niesprawiedliwie obchodzono, tak prędko o ile się da, uzyskał wolność i

zadosyć uczynienie. Sam poprę tę sprawę, i dla tego was teraz prędko opuszczam.

Kapitan opowiedział swym przyjaciołom wszystko co zaszło swojem sposobem i kończył:

— Niech mnie Belzebub żywcem porwie, jeźli ten przeklęty lichwiarz nie będzie kołem bity. Gdybym ja tylko miał w ręku sprawiedliwość, kazałbym szubrawcowi, każdy członek z osobna szczypać rozpalonemi kleszczami aż by mu się oczy zalały! Najlepsze w tem że mu ani szeląga niezapłacę!

Kto wie jak długoby się jeszcze tak silnie wyrażał, gdyby go przyjaciele niezostawili samego.

— To mi piękne prościnki, zawołał Kapitan niechętnie po ich oddaleniu się, wymknęli się po cichu zamiast coby mieli zemną na takie gaudium ułamać szyje z tuzina butelek. Tak ci to Henryku, otóż nasza nagroda na ziemi!

XX.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia odbyło się pierwsze badanie jak Minister zapowiedział. Kantorzysta Wolf, jako równie podejrzana osoba, właśnie gdy chciał opuścić miasto opatrzony bogatemi rzeczami i znaczną gotowizną, został ujęty i sprowadzony przed szranki sądu. Ślusarz Tomasz zeznał, że Józef Hirsz dawał sobie często robić wytrychy, drągi żelazne do wyłamywania i inne niemniej podejrzenie wzbudzające roboty; że był za to zawsze dobrze płatny, dalej o tem niepomyślał i przemilczał. Tomasz uwiadomił dalej, że Wolf nie tylko dawniej towarzyszył Hirszowi przy podobnych zamawianiach, ale nawet od niejakiego czasu sam podobne roboty zamawiał. Strzelec obstawał z początku przy pierwszem swem twierdzeniu, że zostaje w służbie pewnego znakomitego państwa przejeżdżającego

in cognito, których zaś nazwiska i dalszych szczegółów, jako wierny obowiązkom swojej służby niepowinien zdradzić. Lecz Prokurator kryminalny patrząc mu ostro w oczy, poznał w nim złoczyńcę przed kilkoma laty ujętego za uczestnictwo w pewnéj niegodziwości, a wypuszczonego na wolność po wycierpieniu kary. Zatwardziały Hirsz odpowiadał na zapytania krótko, z chytrą obrotnością którą miał zawsze w pogotowiu, i oświadczył nakoniec, gdy niechciano przyjąć jego wykrętów, że widzi, jak wszystko na niego się sprzysięgło, sam zaś jest uczciwym człowiekiem i nie ma nic do wyznania.

Nazajutrz rozpoczęło się znowu śledztwo; mniemany strzelec wyznał teraz że należał do bandy fałszerzy i że żyd Józef Hirsz miał z niemi związek. Wolf wzgryzocie sumienia oskarżył się sam że był występnym, że nigdy nie był wiernym pierwszemu uczciwemu pryncypałowi, że

sam wykonał łotrowską sztukę, zapieczętując w domu Hirsza dziesięć kies fałszywych pieniędzy z pieczątką Barucha tajemnie wziętą, a to w skutku świetnych przyrzeczeń przez Hirsza mu uczynionych. Wyznał daléj, że ostatni uczynił to poczęści z zemsty za wzgardzoną miłość, poczęści zaś sądził, że przez ten podstęp potrafi uwikłać Klarę w swoje sidła, że wreszcie tenże miał zakazany związek z służącymi Waltera i tym sposobem otrzymał bilet pisany do nieszczęśliwéj dziewczyny i wydał go Ministrowi. Józef Hirsz odwrócił się na to zeznanie zgrzytając zębami, że aż głośno zatrzeszczały, i niechciał ani słowa wymówić.

Uznano natychmiast niewinność Barucha Meyer i kazano go uwolnić. Starzec przy oznajmieniu mu tego, padł omdlały w objęcia Waltera, zaniesiono go do pobocznéj izby i dołożono starania aby go ocucić. Gdy przyszedł do siebie i usłyszał po-

wtórnie z ust Radcy kryminalnego, męża pełnego ludzkości, że jest uniewinniony, niedał wiary swym uszom. Trząsał sędziwą głową niechcąc temu wierzyć, gdyż umysł jego skołatany, niebył wstanie pojąć tej pomyślnej wiadomości. Jakby zwodniczym snem łudzony mniemał że go chcą uwodzić.

— Po cóż ta okrutna ze mną igraszka? wszak wiem i wyznaję ze skruchą że jestem wielkim grzesznikiem, i Jehowa, którego pobłażanie przebrane, odwrócił raz odemnie swe zagniewane oblicze. Zasłużyłem na chłostę jaką mi Jego zapalczywość przeznaczyła, i zniosę cierpliwie zasłużoną karę. Niechcę przeto mój dom oglądać, a tych mam za okrutnych, którzy mnie przy tém tak srogo jeszcze udręczają. Nie jestżem już dosyć zelżony? gotówem w każdéj chwili umrzéć.

Z wielką zaledwie trudnością można go było z więzienia wyprowadzić do własne-

go domu. Klarę znaleziono przy udzieleniu téj pocieszającéj wiadomości wstanie mocnego pomięszania zmysłów, w które wpadła podług zeznania lekarzy od dnia nowego roku, i nie pojmowała ani słowa z całego związku téj okoliczności i jéj szczęśliwego rozwiązania.

Następnego dnia znaleziono pisarza Wolf powieszonego u kraty okna w więzieniu. Jego prawa ręka zdrętwiała trzymała jeszcze za nieszczęsny postronek. Józef Hirsz zaś wytrwał w swojéj zakamieniałości.

— Cóż powinienem, i cóż mam jeszcze wyznać? mówił, wszak Panowie rozumieją że wiedzą o wszystkiem, o czém chcą wiedzieć. Widzę, że postanowiono moją zgubę, jestem całkiem zrujnowany, i będę musiał wszystko, co jeszcze na mnie przyjdzie znosić cierpliwie. Róbcie ze mną co wam się podoba i jak macie ochotę, moc wam na to w ręku dana. Lecz nie

przyznaję się do niczego, nic nie wyznałem i niewyznam. Nie pytajcie się mnie więcej, nie udręczajcie mnie dłużéj, lepiéj mnie zabijcie skoro chcecie. Moje usta będą odtąd zamknięte, spuśćcie się na to! I dotrzymał słowa.

Kapitan Walburg spotkał go właśnie, gdy obciążony kajdany, otoczony niezliczonym tłumem ciekawych i swawolnych chłopców ulicznych został do więzienia odprowadzony, gdzie miał oczekiwać wyroku. Zbrodniarz miał wargi jakby na przekór mocno ściśnione; na skościałéj twarzy żaden się muskuł nie poruszał, najmniejszy rys się nie zmienił, a czarno szorstkie włosy zwisłe w dzikim nieporządku nadały wychudłéj postaci z wolna postępującéj, z oczyma bez życia barwy szatańskiéj. Kapitan był pełen oburzenia gdy go spostrzegł.

— Przeklęty żydzie, mruknął po cichu, ściskając pięść, nie jesteś nawet ani ży-

dem, prędzej poganinem od szatana opętanym; albo może samym Belzebubem; jeszcze ci to lekko uchodzi. Milion sto fur beczek.... gdyby mnie zostawiono komendę, musiałbyś mi dziesięciokrotną śmiercią umrzeć; kazałbym ci wyrwać bezbożne serce i jako znamię sprosznoŝci do szubienicy przybić. Ale tak, niechże się i piekło jeszcze tobą zatrudnia. Mort de ma vie! zrobią ci tam dosyć gorącą łaźnię, nie chciałbym jej dzielić z tobą!

Jakób Meyer nieopuścił Waltera od kilku dni, przyszedł do nich Walburg i opowiadał co widział. Doktór nie dał skończyć i przycisnął go do piersi.

— No, daj tylko pokój lamentom, proszę cię niegraj komedyi, rzekł kapitan, bo to wcale do nas nienależy. Oto jeżeli się cieszysz i kochasz mnie prawdziwie, wypróżnij ze mną przynajmniéj z tuzin butelek, i podochoćmy sobie.

— Jeszcze dosyć czasu nato, Henryku,

rzekł Walter, mamy teraz przed sobą ważne rzeczy: Trzeba nam pomyśleć, jakto ułożyć aby nasz przyjaciel Jakób mógł się z ojcem pojednać.

— Nic więcej jak to? rozśmiał się Walburg; prawdziwie, to fraszki dziecinne. Chłopiec pomaszeruje prosto do starca, i zdobędzie twierdzę szturmem. To najprostsza, najlepsza droga i prawdziwie żołnierska. Wartoż to tyle mozołu! Ale tak to zawsze z wami filozoficznie myślącymi ludźmi! Mort de ma vie! — Wchodzący Filip przerwał coraz tęższe kazanie.

— Jakąż wiadomość przynosisz, pytał go się zaraz Jakób.

Stary trząsał głową z zatroszczoną miną.

— Niestety, przynoszę tą razą niepomyślną nowinę. Siostra pańska jest chorą, bardzo chorą, jak lekarz i Rabbi mówią. Ojciec nie oddala się od jej łóżka. od czasu jak zostali znowu do domu odprowadzeni, przesiaduje całe dnie przy niej

w swém dużem krześle, i ledwie w nocy chce ją opuścić. Klara leży powiększéj części niema i zdrętwiała, nie mówi ani słowa. Jednak wczoraj wieczór, gdy ją stary pan prawdziwie czule nazwał swą dobrą i ukochaną Klarcią, i ucałował ją na dobranoc tak serdecznie, że nam wszystkim przytomnym łzy w oczach stanęły, wtedy zerwała się nagle, i to był strach patrzeć jak odepchnęła od siebie gwałtownie ojca, i wołała głośno: „puśćcie mnie, jestem bezbożną, chciałam zabić ojca a teraz jestem od niego wyklętą!" i opadła znowu bez siłnie w odrętwieniu. Od tego czasu dobry pan niechce wcale brać pokarmu i płacze jak dziecko.

— Filip otarł łzę ze starych oczu i ucałował rękę młodego Doktora.

— Zaprowadź mnie do nich, zawołał tenże, bez dalszego namysłu, chcę ich widzieć koniecznie.

— Masz też właśnie to uczynić mój

młody Panie, odrzekł Filip, mocno go wstrzymując, ale nie teraz. Przychodzę właśnie z polecenia Rabbi Izaaka, tén przebywa ciągle w naszym domu i jest dla wszystkich prawdziwym aniołem. On mnie przysyła do pana z wiadomością, że jutro w świętym dniu odpustnym, każe pana do ojca wezwać, aby ten wielki dzień stał się prawdziwie odpustnym między ojcem i synem. Lecz chce wprzódy starego pana dobrze na to przysposobić, i dla tego nie masz pan przyjść wprzódy aż znowu przyszle.

Jakób został. Na wiadomość o ciężkiéj chorobie Klary Walter przerażony upadł na krzesło i nieuważał na nic więcéj. Doktór znalazł że jego obecność była tu konieczną, starał się wyrwać z odrętwienia przelęknionego Waltera. Udało mu się to nakoniec przez stósownie użyte środki o tyle, że paroxyzm Waltera skończył się na

wylewie strumienia łez, i głośne narzekania przyniosły ulgę ściśnionemu sercu.

— Ona umiera, wołał, a ja niemogę jej widzieć! ach, nie przeżyję tego. Radbym ją choć raz jeszcze zobaczył, jedynie raz ujrzeć i ubóstwiać jéj piękne rysy, a potém umrzeć! Ach, gdybym jeszcze mógł słyszeć, jéj głos, ów słodki dźwięk, którym mnie po imieniu swoim Walterem nazywała!

Doktór strzegł się pilnie aby nie przeszkodzić przyjacielowi w wynurzeniu swych żalów; zostawił wolny bieg jego łzom i narzekaniom, wiedząc dobrzę ile taki wybuch ściśnionego wnętrza sprawia ulgi w boleści. Nadto niebył wstanie go pocieszać, on, który sam tak bardzo potrzebował pociechy, i tylko myśl o dniu jutrzejszym, o widzeniu się z ojcem i siostrą była w niejakim względzie wstanie go pokrzepić i utrzymać w przytomności umysłu. Wieczorem gdy lekka febra

opanowała przyjaciela, kazał go na spoczynek odprowadzić, i postanowił noc tę u niego przepędzić.

Walburg opuścił ich zasmucony z powodu tego co usłyszał, i wzruszenia umysłu Waltera, nieco też markotny że spełzła uciecha którą sobie obiecał, sądząc że przepędzi wieczór przyjemnie przy pełnych kuflach

XXI.

W małym pokoiku w tyle położonym leżała Klara blada i wycienczona na łożu boleści. Przy niéj z twarzą ku wezgłowiu łóżka obróconą, siedział smutnie nachylony szanowny starzec. Stroskany nie opuścił krzesła w upłynionéj nocy, uważając z bojaźnią na powolny oddech córki, i jéj lekki sen chwilowy. Drżące jego ręce trzymały wielką księgę do modlitw na któréj czytał mrucząc po cichu. Około poranku zamknęły się na kilka chwil oczę-

żałe jego powieki, wpadł w sen łagodny. Umysł jego zaprzątniony czuwał i objawił swą niezmordowaną czynność w snach ulotnych. Zdawało się starcowi jakoby córka z przezroczystemi rysami snuła się z wyższych przestrzeni ku niemu. Blask świetny otoczył eterową postać, jéj przemienione oblicze uśmiechało się ze słodyczą, głowa jaśniała łagodnym świetlnym blaskiem, który jak promienista korona cudownie ją otoczył. Przycisnęła biały, delikatny palec lewéj ręki do świeżych ustek; w prawéj ręce trzymała świecącą się lilię, z którą ona uroczyście i z pogodną powagą dała znak ojcu W tedy zrobiło mu się tak błogo, serce rozpływało się w morzu słodyczy; uczucie nieprzebranéj radości, o któréj często w godzinach pobożnego wylewu serca marzył, i radujące miał przeczucie, przenikało całą jego istotę Gdy w słodkim zachwyceniu podniósł oczy w górę, wydała mu się córka

jako jasno modry połysk, albo w różowym świetle lepszego przybytku unoszący się anioł. Przyjemne łagodne tony odbiły się o jego zachwycone ucho, i wprawiły wszystkie poruszenia duszy w słodką spokojność Przed nim leżała oświecona równina Edenu, okryta wonią i blaskiem cudownie wdzięcznych farb, a między snującemi się cieniami umarłych poznał i swoją Rachelę. Spuściła się i z uśmiechem zajęła miejsce obok Klary, trzymając w ręku świeżą gałązkę oliwną którą miała Baruchowi podać. Jakaś nieprzeparta, ale łagodna siła pociągnęła go w górę, serce rozpływało się wolne od wszelkich uczuć ziemskich, i wydając okrzyk radości wzniósł się wolny od więzów śpiesząc w objęcia czekających go drogich osób. W około nich brzmiały pieśni radosne herubów, Halleluja czczących Boga aniołów.... Wszystko spływało w jednę woń, w jedno brzmienie, a on sam zdawał się

jednym tylko dźwiękiem, który lekko drżąc rozpływał się powoli.. W tém się przebudził; ziemska rzeczywistość otoczyła go znowu, senny jednak obraz sta jeszcze jasno w czystych zarysach przed zwierciadłem jego duszy, jeszcze mu się uśmiechało oblicze córki, zdawało mu się że różany blask otoczył jéj głowę na śnieżném posłaniu. Zorza poranna rzuciła niepewne promienie przez okno, ich blask spłynął razem z migającym się czerwonym płomieniem długiéj pochodni Jomkipurowéj. (*)

Baruch Meyer nieczuł żadnéj więcéj boleści serca, owszem łagodne i dobroczynne bicia pierś unosiły. Z wesołym umysłem zaczął po cichu modlitwę poranną, oblókłszy się w przódy w białą koszulę odpustną i włożywszy srebrem tkaną kapicę na śnieżną głowę. Przytém zatrzy-

(*) W domu każdego wiernego Izraelity, pali się w tym dniu długa świeca woskowa «Jomkipurlicht» zwana.

mał się nieustannie wzrok jego na twarzy córki, która nim jeszcze skończył modlitwę, zaczęła drgać powoli, jak gdyby doznała jakiegoś szczególnie mocnego uczucia. Ściągnęły się jedwabne brwi, z pod nich migały się czarne oczy jak blady połysk błyskawicy. Wreszcie się zupełnie przebudziła, na ustach spoczywał słodki uśmiech. W téj chwili wzniósł Baruch oczy w bogobojnym zapale i stał zajęty czułą modlitwą ze złożonemi rękami nieporuszony. Światło poranne odbiło się o bladą twarz starca, która osobliwsze promienie oddała. Klara wlepiła oczy w niego, rozumiejąc że widzi przed sobą nadziemskie zjawisko, wyciągnęła ręce do niego z upragnieniem. W tém poznała rysy ojca, jak on w białym śmiertelnym kitlu stał przed nią zupełnie jak w owym czasie w więzieniu, gdy mu udzieliła swe zgrozą przejmujące postanowienie. Wzdrygnęła się ze drżeniem, przeszłość i obe-

cność pomięszały się razem w jej skołatanym umyśle, pomięszane uczucia opanowały jéj serce. Już to gwałtowna gorączka rozpalała jéj członki, które znowu lodowaciały. Krzyknęła mocnym głosem:

— Co za widok przeraźliwy! precz stąd, wszakżem cię nie zamordowała. Czemuż przeklinasz mnie jeszcze? Ty nie jesteś mym ojcem, jakżeby córka mogła zabić ojca! Ha, śnieżna, surowo grożąca postaci! rośniesz olbrzymie coraz wyżéj, snujesz się koło mnie i wysyssasz krew z serca! Wszak niemam krwi więcéj, dawnom już wyklętą i umarła w złorzeczeniu ojca!

— Zerwała się gwałtownie i chciała w obłąkaniu uciec z łóżka, ale ją Baruch w należytym jeszcze czasie objął ramionami. W omdleniu wisiała u szyi jego, którą obiema rękoma w objęciu trzymała, głowa z rozpuszczonemi włosami spoczywała na lękliwej piersi ojca, krew się skrzepła

w jej żyłach, członki zwisłe zimne i stężałe. Starzec rozpływał się w żałości, ledwie był wstanie utrzymać ją swem drżącém ciałem. W tem otworzyły się drzwi po cichu, młodzieniec wszedł powoli i uważnie. Zaledwie spostrzegł rozczulającą grupę, stanął cicho wstrzymując w sobie oddech, jakby niechciał najmniejszym szmerem przerwać uroczystej sceny. Nagle zgięły się kolana Barucha przez mocne usiłowanie, opadł na łóżku pociągając za sobą zdrętwiały swój ciężar. Szybko przyskoczył młodzieniec, położył ostrożnie chorą na poduszkach, i zaniósł słabego starca silném ramieniem na krzesło poręczowe. Baruch przychodził do siebie, trzymając ciągle ciepłą rękę młodzieńca, spojrzał na twarz jego piękną i otwartą.

— Jak się teraz masz, mój dobry kochany panie, pytał się tenże, pan jesteś zapewne słaby, poznałem to po nim wczoraj, i prosiłem serdecznie aby się udał na

spoczynek, będąc tylu cierpieniami osłabiony, a zostawił kobietom czuwanie w nocy nad chorą. Ale pan niechce mnie nigdy słuchać i ma się za mocniejszego niż jest w saméj rzeczy. Przeczuwałem zaraz coś złego, przeto zostałem przez całą noc w przedpokoju, abym mógł bydź pod ręką na każdy przypadek.

— Dziękuje ci kochany synu, rzekł na to Baruch słabym głosem, czynisz za wiele dla mnie starego, niechciałeś mnie opuścić jak inni, w czasie potrzeby i ucisku. Nadgrodzę cię za to sowicie, będziesz kontent ze mnie.

— Niepotrzeba tego mój panie, odpowiedział młodzieniec rumieniąc się, wdzięczność przepisała mi abym tak postępował, nie uczyniłem przeto nic wielkiego. Wiem że nie będę nigdy wstanie odpłacić się za to co pan dla mnie uczynił, mając tak troskliwe niemal ojcowskie o mnie staranie. Czemżebym był teraz bez jego pomocy?

Któż jeśli nie pan, opiekował się mną od dzieciństwa, gdym był od wszystkich opuszczony.

— Dajmy temu pokój dobry Werksteinie, przerwał mu Baruch, możesz mnie teraz opuścić i udać się do Synagogi. Wszechmocny przebaczy mi, że noga moja nie wstąpi do Jego poświęconego przybytku, w dniu tym straszliwym i świętym. Chcę jednak w domu pościć, modlić się i trapić me grzeszne ciało. Idź mój synu, mówił daléj głaszcząc ciemne jego włosy na czole, idź i wybłagaj sobie szczęśliwy byt, pełen pociechy i odpuszczenie grzechów.

— Ale mamże was zostawić samych szanowny panie, rzekł nato Werkstein, nieprzeszkodziż ta myśl moim modłom? zwłaszcza gdy zważam że zacny mój dobroczyńca osłabiony chce pościć; gdy....

— Nie mów tego, przerwał mu Baruch Meyer, niegrzesz tak bezbożnem przełożeniem! Spiesz się do Synagogi, dobry

synu, dodał łagodniéj, proś Boga o pomoc dla mnie i tego nieszczęśliwego dziecięcia. Gdy mówił te słowa, krążyło oko Werksteina nad twarzą w odrętwieniu leżącéj choréj, osuszył łzę, i ucałowawszy rękę starca, rzekł rozrzewnionym głosem:

— Tak jest ojcze, będę się modlił za nią, oby Bóg wysłuchał moje błaganie! Odwrócił się i chciał odejść, lecz zatrzymał się przy drzwiach, bolesne przeczucie zdawało go się opanować, powrócił natychmiast i rzucił się do nóg starca.

— Pobłogosław mnie Ojcze, rzekł z proszącą i bolesną twarzą, czuję jakoś że możesz mi ostatnie tylko dać błogosławieństwo.

Baruch położył rękę na głowie młodzieńca, podniósł go potém i uścisnął serdecznie. Z największém uszanowaniem ucałował młodzieniec ojcowskie usta; potém oddalił go starzec łagodnie od siebie. Jeszcze jedno spojrzenie rzucił Werkstein na cierpiącą

Klarę, na starca siedzącego w niemem wzruszeniu, i oddalił się śpiesznym krokiem. Niedaleko Synagogi spotkał Rabbi Izaaka. Ten dowiadywał się od niego o stanie zdrowia przyjaciela. Werkstein opowiedział mu wszystko, naco Rabbi trząsał głową słuchając go uważnie.

— Na Boga żywego! Rabbi, zawołał Werkstein, trząsasz głową z takim znaczeniem! Obawiam się, aby...

— Stań się wola Boska, mój synu, odrzekł mu Rabbi uroczyście, człowiek powinien się tylko obawiać własnego serca i swego błędnego postępowania. Idę teraz do naszego starego przyjaciela, jego stan zdrowia sprawia mi wiele trosk. Nie smuć się synu, zaufaj Bogu, który dotąd tak cudownie dopomógł i też nieopuści nas w godzinie utrapienia. On liczy nasze dni, powołuje nas do siebie, gdy to znajdzie dobrem i stósownem. „Jak glina w ręku zduna, którą podług upodobania kształci

szeroko lub wązko, tak i my jesteśmy w Twoich ręku miłościwy Boże!" Idź do Synagogi synu, gdy cię będę potrzebował, każę cię wywołać. Sam zaś zostanę w domu boleści, który może w krótce stanie się domem śmierci. Bóg z nami!

Ścisnął rękę młodzieńca rozczulonego temi słowy, i oddalił się z właściwą sobie godnością. Werkstein wszedł do Przybytku Pańskiego.

XXII.

Z twarzą ku wschodowi obróconą, nogi mając mocno ściśnięte, plecy zgarbione, głową głęboko schyloną i osłonę Taleth na twarz spuszczoną, stał Baruch Meyer odmawiając gorliwie modlitwę *Szemona Esra* zwaną. W przedpokoju odgrywał sztuczny zegar harmonijną melodyą; z resztą panowała największa cichość w przestrzennym i widnym domu. Klara leżała w odrętwieniu bez najmniejszego znaku życia,

podobna kształtnemu posągowi z alabastru. Stara kobieta siedziała przy łóżku, wpuszczając czasami krople uśmierzającego soku przez mocno spieczone usta. Lekarstwo to miało cokolwiek ochłodzić i wstrzymać gasnące coraz bardziej ostatnie siły życia. Chora oddychała z trudnością, przytém miała oczy ciągle zamknięte, i zdawała się zupełnie już dla zewnętrznego świata bydź umarłą.

Ton modlitwy Barucha, wydobywający się z pod Talethu, przeszedł w ciche łkanie; cały skruszony począł się chwiać i był przymuszony oprzeć się o stół przy nim będący. Wreszcie skończył *Szemone Esrę*, chwiejąc się zrobił podług przepisów trzy kroki w tył, kłaniając się nisko. W tém zapukano z wolna, drzwi się ostrożnie otworzyły i szanowny Rabbi wszedł z godnością i powagą. W przedpokoju złożył zwierzchnią suknię i był także ubrany w śnieżnym kitlu. Baruch podał mu drżą-

cą prawicę dając się od niego zaprowadzić do krzesła. Izaak zajął miejsce obok niego, schyliwszy się wprzódy nad Klarą, i uważał jej oddech trząsając głową.

— Jakże znajdujesz mą córkę? zaczął Baruch po długiem milczeniu pytając się niepewnym tonem.

— Wielka jest władza Jehowy, odrzekł Rabbi z mocą, nieskończono potęga Jego cudów. Jest on miłosierny przy tém najsprawiedliwszy pełen łaski i litości dla tych którzy w miłości i pokorze mu ufają. On uwalnia z pęt, goi rany, które zadaje.

Baruch słuchał go uważnie, i ścisnął mu rękę, na znak że go rozumie. Puściły mu się jednak łzy przez zapadłe lica, obudziła się czułość rodzicielska; zasłonił sobie twarz Thaletem.

— Jehowa chce mi zabrać jedyną podporę, narzekał, pociechę mój starości, różę saronu, której woń orzeźwiająca pokrzepiała znużonego ducha mojego żywotu,

w czasie gdy mi Szadai okazał płomień swego gniewu. Moje dziecię ginie ofiarą pod pazurami drapieżnego źwierza, ma ulubiona zostaje mi zabraną, a ja mam zostać na tym padole sam bez pociechy i bez dzieci!

— Tak się nie stanie, odparł Rabbi, Szadai jest wszech-sprawiedliwy, Jego czyn bez błędu, ale niedocieczony od nas. On zabiera do siebie twoje dziecię, jako jagnię z pośrodka wilków, do trzody swych wybranych; ale zato zostawia ci podporę, abyś niebył samotny przy zakresie ziemskiego życia. Masz jeszcze syna Baruchu.

— Żadnego niemam syna, odpowiedział tenże głosem drżącym.

— Bluźnisz swego Stwórcę, mężu nieszczęśliwy, rzekł szybko Rabbi Izaak stawając przed nim, grzeszysz powstając jako sędzia tam, gdzie Bogu tylko należy rozsądzać co do nadgrody lub kary. Słońce Jehowy świeci zarówno dla wiernych jako i

niewiernych, dla pobożnych i dla odszczepieńców. On łaską swą oświeca ziemię i wszystko co na niej mieszka, Jego dobroć odnawia się każdego dnia bezustannie. Objawił On swą wolę Jakóbowi, nadał Izraelowi prawa, lecz On sam tylko jest badaczem, sędzią i wykonawcą. My ludzie zaś, dzieło rąk Jego; jesteśmy prochem przed Jego słowami, trawą, która rano wschodzi, w południe przepala ją słońce, a nazajutrz wiatr rozniesie. Narzędzie nie może się targnąć na swego Pana i Mistrza, przepisując Mu prawa. Kiedy Bóg, który surowo wszystkiego dochodzi, cierpi tak wiernych jak niewiernych, ostatnich nie odpycha od siebie i nie gubi ich w zapale swego gniewu, lecz dopiero na tamtym świecie wydzieli nadgrody lub kary, czemuż robaku w pyle, chcesz się wznieść i złamać laskę nad głową syna, którego Stwórca obdarzył światłem wiadomości, mogących przynieść zbawienie i błogosła-

wieństwo ludzkości! Jesteś na złej drodze, zacny przyjacielu, nie przepełniaj miary ziemskich występków, (od których wprawdzie żaden człowiek nie jest wolny), przez surowe, boleśne, a z tąd też i niesprawiedliwe postępowanie względem twego ciała i krwi. Oto syn wyciąga do ciebie ręce i ma nadzieję litości i przebaczenia. Pamiętaj na słowa Proroka, który oznajmia: „Niechaj grzeszny opuści swą drogę, niech złośliwy porzuci harde zamysły i wróci do Przedwiecznego; On się nad nim ulituje gdyż nie ma upodobania w zniszczeniu świata!" — I dziś, gdy On pod swą opieką i miłością żałujących łaskawie przyjmuje, gdy dozwala niknąć naszym grzechom, jak dym przed wiatrem, gdy krwawo jaskrawy kolor naszych występków w śnieżny pojednania się zamienia, dziś, kiedy mamy dzień odpustu dla wszystkich lepszych w Jeszurum, dziś to chcesz z niechęcią się odwrócić i zamatwa-

ny w sieci zatwardziałości odpychać od siebie otwarte ręce syna?

— Daj mi pokój, mruknął Baruch uderzony temi słowy.'

— Nie tak godny mój przyjacielu, mówił daléj Izaak, nie zamykaj serca pojednaniu; rozważ iż ukochane twoje dziecię leży cierpiąc, w krótce może stanie przed tronem najwyższéj łaski i miłości. Przy téj rozwadze, i w tym dniu uroczystym wyruguj wszelką myśl nieprzyjazną, wszelką nienawiść, i otwórz serce aby znowu miłość i litość w niem osiadły. — Podaj mi rękę.

Baruch wzruszony wyciągnął ją z pod Talethu milcząc. Uczuł iż ciepła ręka ją ujęła i ściskała; niezliczone pocałowania pokrywały ją.

— Odkryj tylko oblicze, rzekł Rabbi. Baruch odgarnął z twarzy osłonę i spojrzał na dół. Syn klęczał u nóg jego.

Jakób pośpieszył był do domu ojca, gdy

mu szanowny przyjaciel dał znać i przysłuchawszy się całéj rozmowie w przedpokoju wszedł po cichu.

— Przebacz mi kochany ojcze, jąkał się, okrywając pocałowaniami rękę starca.

Baruch jakby nieodporną siłą poruszony, położył drugą rękę na głowie syna i dał mu przerwanym głosem swoje błogosławieństwo.

Nastąpiła uroczysta cichość. Syn podniósł nakoniec głowę, i gdy spojrzał na łagodną, przez nabożeństwo i miłość upiększoną twarz nad sobą, podskoczył wnet i rzucił się do serca ojca, który go w milczeniu drżącemi ramionami objął. Że złożonemi rękami stał przytém Rabbi Izaak.

Fletni zegar grał znowu łagodną, słodko rozpływającą się melodyą. Baruch wyrwał się z objęcia syna, ujął go za rękę i zaprowadził do łóżka córki.

— Bóg w niebie mój synu, zaczął do niego; jest sędzią naszych czynów, niech

On przeto rozsądzi między mną a tobą. Ja ci przebaczam, aby i mnie Bóg chciał odpuścić moje winy i zwrócić na mnie łaskawe Oblicze. Przysięgaj mi jednak synu mój, że nigdy nie odstąpisz od wiary w któréj ojcowie twoi żyli, za którą ich krew ciekła i poczęści w męczeńskim utrapieniu życie oddali. Oto leży przed tobą umierająca siostra, w krótce będzie ona wolną od wszelkich więzów ziemskich; połóż rękę na jéj czole i przysięgaj!

— Przysięgam, rzekł Jakób powoli z gorliwością, przysięgam, że się niewyrzeknę nigdy religii w któréj się urodziłem.

Baruch ucieszony przycisnął go do piersi, potém oddalił go łagodnie od siebie i nachylając się, złożył pocałowanie na bladych licach Klary. Zaczęła się ruszać powoli, otworzyła oczy i obięła rękami szyję ojca.

— Mój ojcze, rzekła słabym głosem, przebaczasz mi dobry ojcze za me ciężkie

przewinienie! Oby ci Bóg zato nadgrodził, mogę spokojnie umrzéć.

— O zostań przy nas, moje dziécię, moja Klarciu, zawołał starzec wzruszony, nieopuszczaj nas przynajmniéj teraz. Bóg zrządził wszystko na nasze dobre, napełnił radością nasz dom; nie zostawiaj mnie w tęsknocie, albo mnie zabierz z sobą moja córko!

— Nie będziem długo rozłączeni, odrzekła, matka objawiła mi się i oznajmiła mi, że będziemy wszyscy złączeni i nigdy się więcéj nie rozłączymy. Ach, bardzo mi lekko, nigdy nie miałam się tak dobrze jak teraz.

— Spostrzegłszy brata, podała mu rękę, ucałował ją z boleścią w milczeniu. Baruch zajął miejsce z drugiéj strony łóżka i płacząc ukrył twarz w poduszce; przy nim stał Rabbi modląc się po cichu. Swieca Jomkipru rzuciła łagodne światło na uroczystą grupę.

Drzwi do przedpokoju były otwarte, wysoka osłoniona postać przechodziła się w nim, teraz stanęła na progu patrząc w stronę gdzie chora leżała. Fletni zegar skończył aryę, nic nieprzerywało cichości.

Nagle podniosła się Klara, jéj postać była ćmiąco blada, oczy błysły jeszcze raz jasno, jak ostatnie promienie zanurzającego się słońca.

— Żyjcie szczęśliwie, rzekła, żegnam was moi ukochani, opuszczam was na czas krótki. Ostatnie chwile jak mgła przechodzą. Piędź życia ziemskiego została wymierzoną i odbytą, sen istnienia znika, obudzenie jest uszczęśliwiające. Ziemia niknie odemnie coraz daléj, pływam na wodach przeprawy, w jasno błękitnym zarysie przymyka się ku mnie, uśmiechającemi się kwiecistemi wierzchołkami obsiana wyspa wiecznego świata, zbliżam się do niéj coraz bardziéj, i coraz staje mi się wyraźniejszą odległość. Tam oto stoi

matka w różowym blasku wiecznego życia, czeka na córkę z otwartemi rękami. Bywaj mi zdrów, żegnam cię, o ty obrazie moich myśli, żyj szczęśliwie mój Waltérze, miłość moja zostanie ci i za grobem!

Na te słowa weszła chwiejącym się krokiem postać stojąca na progu, zrzuciwszy płaszcz z siebie, pośpieszyła do umiérającéj. Klara poznała swego Waltera, wyciągnęła do niego ręce, rzucił się w jéj objęcia i niebył w stanie słowa przemówić. Przycisnęła go do siebie zebrawszy ostatnie siły, jéj głowa spoczywała na jego ramieniu.

— Dziękuję ci, mówiła mu, sprawiasz mi ulgę przy śmierci. Żegnam cię!

Walter przycisnął swe usta do jéj ust, uczuł jak stygły, jéj głowa opadła powoli, jeszcze jedno spojrzenie zamykających się ócz padło na ojca, na kochanka, i zgasło na zawsze. Walter wypuścił ją z objęcia, ukląkł obok Jakóba i trzymał jéj zimną rękę....

— *Bądź błogosławiony o Ty Sędzio sprawiedliwy!* (*) zawołał głośno Rabbi. Baruch podniósł prędko głowę na te słowa, i spojrzał na uśmiechającą się jeszcze twarz córki. Pogłaskał ją ręką po bladych licach.

— Orzeźwij się moja Klarciu, rzekł, spojrzyj jeszcze raz na ojca ukochanemi swemi oczyma... Aleś tak zimna!

Rabbi Izaak ujął go za ramię starając się go powoli odprowadzić. Baruch spojrzał w około siebie, i gdy spostrzegł sztuczną spokojność na wygładzonych rysach przyjaciela, zerwał się gwałtownie.

— Umarła! zawołał. Przyjaciel usiłował znowu go od umarłej oderwać.

— Umarła! powtórzył cicho przerwanym głosem. Wyrwał się gwałtem, westchnął głęboko, podniósł się jeszcze raz w

(*) Zwykle się to mówi przy zachodzącej śmierci Izraelity.

górę, i upadł tknięty apopleksyą. Jego głowa opadła na pierś zgasłej córki. Pochodnia jarząca się z trzaskiem objaśniła blado czerwonym blaskiem stężałe rysy.

— *Bądź Błogosławiony o Ty Sędzio prawdziwy*! zawołał powtórnie gorliwie i uroczyście Rabbi.

KONIEC.